№ 42. Warszawa, dnia 7 (19) Października 1878 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztowa złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

NASZE DZIEJE.

Na podstawie Ernesta Legouvé

ułożone przez

Konstancyą z Bardzińskich Żeromską.

(Dokończenie).

W czasach feudalizmu nowa tyrania. Kto wydawał za mąż młodą wasalkę niejednej królewskiej lenności? Jej ojciec. Lecz przed ojcem jej pan, a przed panem król. Trzech przyzwoleń potrzeba było na to, ażeby panna mogła dać swoje; o które zresztą nie pytano się. Zdarzało się nieraz nawet, że zaledwie wyszłej z dzieciństwa kazano wychodzić za mąż i kwita, nierzadko wbrew sercu i woli.

Tak więc np. za czasów świętego Ludwika; jeżeli młoda wasalka w jakiejś królewskiej lenności miała wyjść za mąż, musiał ojciec udawać się do swego pana o pozwolenie, pan zaś do króla, i dopiero na tej zasadzie mogło nastąpić małżeństwo.

Tak pojmowali Rzymianie, Grecy, barbarzyńcy feudalizm prawa kobiety nad jej osobą i jej małżeństwem. Szczęściem wśród tego szeregu wieków i narodów uciemiężających dziewice, wznosi się przykład piękny swobody i godności ludzkiej, a przykład ten daje nam Gallia.

W Liguryi kiedy wielu pretendentów było do ręki dziewicy, rodzice zgromadzali ich w biesiadnej sali. Przy końcu uczty młoda Liguryanka ukazywała się na progu trzymając w ręku kielich pełen słodkiego napoju. Wśród oczekiwania wszystkich postępując krok naprzód i zawodząc wzrokiem naokoło siebie zbliżała się do tego, którego przenosiła nad innych; temu dawała się napić.

W następstwie tego wyboru zostawali małżonkami.

Dla uzupełnienia obrazu strasznych przeznaczeń i kolei kobiet dotyczących córek, żon, matek, sprzedawanych i kupowanych narzeczonych, sióstr, wypada mi jeszcze wspomnieć o roli siostry w rodzinie. Nikt mi tego nie zaprzeczy z ludzi rzeczywiście moralnych, że siostra w rodzinie jest zwykle jej aniołem stróżem. Alboż tak często nie bywa, że brat ma życzenie jakie, które nie śmie wyznać przed rodzicami: któż go w tem wyręczy jeżeli nie siostra kochana? Gotowa ona prosić, nieraz aż do łez się poruszy, aż nie wymoże przyzwolenia przychylnego bratu.

Obraz najdoskonalszy tej wzorowej siostry znajdujemy w dziejach Francyi pod postacią Małgorzaty Nawarskiej siostry Franciszka I-go. Wychowali się oni razem przy matce Ludwice Sabaudzkiej w zamku Etampes. Usposobienia i zapatrywania na rzeczy podobne łączyły ich z sobą. Że zaś ona była starszą od brata o dwa lata, wplotła się do tej czułości odcień troskliwości niemal macierzyńskiej, tak właściwej starszym siostrom.

Kiedy Franciszek był uwięziony w Madrycie, jedyną myślą jej było jakby go uwolnić. Nie wstrzymują jej liczne niebezpieczeństwa na lądzie i morzu: przedziera się do brata i zastaje go umierającego, bezprzytomnego, myśl bowiem o jej nieobecności zabijała go! Cóż ona wówczas robi?

Oświecona natchnieniem serca, urządza w pokoju chorego ołtarz przybrany we wszystkie ozdoby religijne, jak krzyż, kielich, hostyą; zbiera towarzyszy niewoli, oraz wszystkich ze swego orszaku zgromadza około księdza, który rozpoczyna ceremonią ofiary. Brzmią hymny, modlitwa księdza staje się udziałem wszystkich obecnych. Małgorzata również się modli mając wzrok utkwiony w brata. Nagle konający monarcha wyrwany z odrętwienia pobożną głosów harmonią, modlitwą przywołany do życia, otwiera oczy i on umierający z osamotnienia, znajduje przy sobie rodzinę w siostrze, Francyą w swych towarzyszach a naród wreszcie w tym klęczących tłumie.

Ocalony! Cóż może być bardziej rozczulającego, nad to uzdrowienie braterskie? Chyba tylko równoważyć mu może sposób jakiego chwyciła się Małgorzata, do wyswobodzenia go.

Karol V król Hiszpański, nie ufając swej wymowie, zakazał radzie państwa udzielać jej posłuchanie.

Nie wolno mi mówić do mężczyzn, rzekła, alež kobiety nie zabroniły mi tego—będę więc do nich mówiła w dwójnasób.

Jak rzekła tak i zrobiła.

W istocie przemawiała do nich tak zręcznie, że się potrafiła zaprzyjaźnić z siostrą Karola V. Zainteresować ją losem więźnia, zachwycić opowiadaniem o talentach i zaletach Franciszka nie trwało długo. Doprowadziła ją aż do pokochania go i wzięcia z nim potajemnie ślubu.

Wówczas wygrana była po jej stronie a z nią wyswobodzenie brata stało się pewnem.

Karol V bowiem mógł wiecznie trzymać w więzieniu króla, ale trudniej by mu przyszło trzymać króla, swego szwagra.

Podpisano więc w końcu traktat w Madrycie, który go powrócił Francyi.

Któż wtenczas natchnął go myślą unieśmiertelnienia tamże swych rządów, tyle zadziwiającemi pomnikami sztuki jeżeli nie Małgorzata.

Któż to go ożywiał siłą przywiązania i dodawał mu odwagi jeżeli nie siostra, skoro powtórnie zapadł w niebezpieczną chorobę. Później wróciwszy do Pau, kiedy dowiedziała się o recydywie —

codziennie siadała na kamieniu przy trakcie wyglądając Kuryera.

— Ach ktokolwiek by on był, mówiła, kto by mnie zawiadomił o wyzdrowieniu króla, mego brata, choćby nie wiem jak był zabłocony i powalany, gotowabym go uściskać, jakoby najpierwszego dygnitarza państwa.

Franciszek tymczasem umarł a wkrótce po nim i Małgorzata.

Bez wątpienia, jest to tak doskonały wzór siostry że sama poezya nie mogłaby nic dodać do uzupełnienia go.

Jakież było wywzajemnienie się Franciszka I w tak silnej, tak doskonałej miłości braterskiej.

Oto najprzód Franciszek I z podziału swego domowego majątku, nie dał nic siostrze, oprócz dożywotnej, a odwołalnej pensyi, dwudziestu pięciu tysięcy franków rocznie. Obok tego Małgorzata miała córkę z pierwszego małżeństwa.

Franciszek I zabrał gwałtem to dziecko matce i tak pozbawione jej czułej opieki, trzymał przez pierwsze lata dzieciństwa w zamku Plessis les Tours z obawy, aby nie wyszła za mąż za księcia jakiego wbrew jego wyboru. Skoro więc tylko dziewczynka doszła do lat dwunastu, zaręczył ją gwałtem Franciszek z księciem de Cleves pomimo próśb i łez Małgorzaty.

Nakoniec tej, która go po dwakroć wybawiła, nie zapewnił nic w testamencie swoim, bo nawet owej nędznej pensyi dwudziestu pięciu tysięcy franków. Ponieważ zaś Małgorzata nie mogła utrzymać domu swego bez tego dochodu, była więc zmuszoną, uciekać się do łaski swego siostrzeńca, króla Henryka II a raczej swego śmiertelnego, a wszechwładnego wówczas nieprzyjaciela, konnetabla Montmorency. Czyż więc Franciszek I był dla tego potworem? Nie! był tylko feudalnym bratem. Kochał szczerze Małgorzatę, jak tego dowodzi tęsknota za nią, ale kochał ją po swojemu, po feudalnemu.

Przywłaszczyć sobie całą ojcowiznę, uwięzić siostrzenicę, jeżeli mu ona przeszkadzała, wpływać przemocą, na zamęźcie tego dziecka — uważał to nieledwie za obowiązek swego stanowiska jako naczelnika rodziny i pana.

Rozważając to wszystko, mimowoli wysuwa się zapytanie: dla czegoby kobieta miała wiecznie być albo ową istotą ujarzmioną, albo też przez wyzwolenie z przesądów towarzyskich popchniętą bez pomocy, z pewnem rodzajem urągowiska na śliską drogę żywota? Pytam się czy jest dowodem odwagi rzucać się na bezbronnego, tak samo jak dowodem wyższości — walka z istotą z natury swej fizycznej słabszą.

Sprawiedliwość wieków przemawia rzeczywiście dziś za kobietami.

Wszakże i tu jeżeli mężczyźni jej nie wspomogą, nie otoczą nawet opieką, jaką płeć jej nakazuje, te tak szlachetna, jak ją pojął Ernest Legouvé, emancypacya nie wyda owoców, na drodze dążącej ku uszlachetnieniu i moralności przyszłych pokoleń.

Z jedności wypływa siła a zarazem dopełnienie obowiązków ludzkości, na drodze religii, cywilizacyi i postępu. Nie sprzeciwiajcie się więc kobietom, tak długo uciemiężonym, nie przedrzeźniajcie ich, ale idźcie z niemi ręka w rękę — ażeby chcąc postawić na swojem, nie poszły drogą szaloną, i gubiąc siebie zarazem nie zgubiły was, wraz ze społecznością całą, której zbawienie w znacznej części w jej także spoczywa ręku.

I w czemże kobieta miałaby być niższą od was moralnie żeby nie miała być godną ręki bratniej, współczucia całej ludzkości? Albož serce jej nie niosło zawsze pociechy tam, gdzie nędza fizyczna, lub moralna wyciągała do niej rękę? Albož w życiu swem nie złożyła dowodów cnót wszelkich a mianowicie najtrudniejszej może ze wszystkich; cierpliwości wśród cierpień fizycznych, a może trudniejszej jeszcze wśród mąk moralnych katuszy.

Jeżeli w dodatku weźmiemy odwagę, do której mężczyznom zdaje się że mają wyłączne prawo, czyż i w tej cnocie one im ustępują?

Dochodzi ona tak samo u kobiet, jak u nich do szczytu najwyższego poświęcenia, bohaterstwa! Prawda, nie zdobywa ona fortec i szańców wyjąwszy natchnionej Joanny, ale czyż mało okazała męztwa duszy w czasie prześladowania Chrześcian. Czyż liczba umęczonych kobiet rodzaju żeńskiego, była mniejsza od liczby waszych męczenników.

Zapewnie jak wszędzie tak i tu, był pewien rodzaj współzawodnictwa: przykład jednej płci, oddziaływał na drugą a może bohaterstwo pierwszych wyznawców Chrystusa zagrzewało żeński ich obóz: takby należało sądzić podług naszych wyobrażeń jakie sobie tworzymy o sile. Ale czyż siła ducha, jest zawsze w zgodzie z muskularną budową człowieka, tak jak jest z nią siła brutalna?

Bohaterstwo kobiet uprzedziło jeszcze epokę chrześcianizmu: stary testament jeszcze, przytacza nam Matkę Machabeuszów, która poświęciła dla prawdy co miała najdroższego aż siedmiu synów swoich. Ażeby pojąć cały ogrom tego poświęcenia, trzeba znać serce macierzyńskie. A nasza Wanda, Jadwiga i Chrzanowska i wiele innych im podobnych, czyż nic nie znaczą?

Nie mam na celu, wbrew prawdzie przekonywać, żeby kobiety były aniołami. Mamy wszyscy niestety wiele w sobie złego, ale nie podlega wątpliwości, że wiele błędów kobiet, z męzkiej powstaje przyczyny. Nie mówię tego wynosząc płeć własną, ale chcę przekonać, że o ile szkodliwie jedna płeć na drugą, o tyle drugostronnie i zbawiennie oddziaływać może. Aby tylko działaniom tym przewodniczyła uczciwość z którą, niestety nie zawsze się dziś spotykamy.

Jeżeli np. weźmiemy kobietę w stosunku małżeńskim; niech dostanie przypuszczam choćby nie z gruntu złego człowieka ale lekkomyślnego i grubianina, to dla uniknienia strasznych dla siebie wybryków, gotowa mu się dać wywieść nawet z wiedzą złego i wbrew swej woli, na bezdroża wprost przez uczucie rozpaczy, jakby z wewnętrznem zapytaniem: „ciekawam, do czego ten człowiek jeszcze mnie doprowadzi?“

Jest to wielkie złe, taka słabość charakteru, taki brak siły oporu, lecz w tej chwili nie mówimy o świętych, silnych i nieugiętych, lecz mówimy o ludziach pospolitych, w stosunku jednych do drugich. A tym łatwiej by przyszło zdobyć się na odwagę jednorazową, aniżeli ją snuć z siebie przez cały ciąg żywota. Tak więc w błędach żon dociekajmy najpierw powodu, a przekonamy się nieraz, że nie jedna z tych, którą świat obmawia, byłaby może przykładem dla innych, gdyby ją mąż swojem nieuczciwem postępowaniem nie popchnął do złego.

Zdarzają się wprawdzie także wypadki gdzie mąż bywa nieszczęśliwym przez żonę, ale je pomijam jako nie dotyczące kwestyi przeze mnie podjętej; mąż ten bowiem mający za sobą prawo i społeczeństwo, sam sobie winę przypisać powinien, jeżeli przez nieumiejętny wybór, lub nietaktowne wzięcie się względem żony, nie umiał jej zjednać dla siebie. Kiedy przeciwnie wielka odpowiedzialność cięży na mężu tym, który zawiódł nadzieje szczęśliwego pożycia, uczciwej żony i matki swych dzieci.

A teraz zastanówmy się cokolwiek nad tym wiekiem który jedni zanadto potępiają inni zaś wynoszą zbytecznie. Jeżeli rozdzielimy społeczeństwo na ludzi złych tendencyj, od tych, którzy niepewni drogi, chcieliby pozostać w zgodzie z sumieniem swojem, jakąż najgłówniejszą w nim spostrzegamy wadę?

Dzisiejsze społeczeństwo nie boi się pracy, a więc nie grzeszy lenistwem, czego dowodem jego nieustanne wynalazki na drodze postępu. Dalej, nie jest tak jak go wielu ludzi chce widzieć, pozbawione serca, ludzkości! Przeciwnie, może nigdy nie było tyle zakładów dobroczynnych; weźmy np. na dowód Warszawę, to samo dzieje się zagranicą. Ile to loteryi dla biednych, koncertów, bali i t. p. Jeżeli weźmiemy wyjątkową nędzę, albož nie znajduje swoich opiekunów? Zdaje się że w każdej chwili, na każde zawołanie pomocy, ona jest natychmiast gotową, niemal z pewnem współubieganiem się, kto da więcej.

Znajdują się nawet ludzie, którzy z zapomnieniem o sobie świadczą drugim.

Ale czemuż ludzkość świadcząc drugim zapomina o sobie?

Czemu tak jesteśmy naszych kroków niepewni? Czemu dajemy się rządzić okolicznościami zamiast żebyśmy byli panami tych naszych nieprzyjaznych okoliczności.

Dziś człowiek nie jest siebie pewnym ani jednej chwili, dusza nasza jest gąbką zależną od otoczenia, z którego ciągnie płyn, i stosownie do tego w jakim się znajduje, albo się wznosi w sfery wyższe — lub też jak można najniżej upada.

Kobiety dola zwłaszcza obecna przy braku silnej woli, smutną jest, opłakaną, jeżeli w życiu nie spotka opieki, lecz przeciwnie. Cóż dopiero mówić o mężczyźnie, który tę opiekę jej stanowić powinien, w cóż obróci się jego rodzina? Jakie jego własne stanowisko do niej i do świata, a cóż dopiero mówić o Bogu, o którym zapominając tylko, do takiego przychodzi się stanu. Tak dziś za wiele człowiek ufa sobie i dlatego upada. Zwyciężony namiętnościami kroczy w życiu na oślep, stosownie do słów bajki Krasickiego:

Wiódł ślepy kulawego etc.

Z Poezyi M. L. Renand'a,

dedykowanych

Królowi Stanisławowi Augustowi

(z wydania w Lipsku 1775 r.

BAHANTKA.

Jeszcze cię widzę—choć w sali balowej
Pogasły światła—wir karnawałowy
Ustał—i zmilkła gra dworskiej kapeli...
Jeszcze cię widzę duchu czarny, w bieli,
Z kwiatem kaktusu w swych wonnych warkoczach,
I demonicznym blaskiem w czarnych oczach...

* * *

Usnąć nie mogę—bo ciągle cię widzę,
Tak rozszalałą że cię nienawidzę,
Że cię przeklinam ty piekieł posłanko,
Szału kochanko.

* * *

Ha precz!—widziadło precz! Twoje zaklęcia
Bym biegł i schwycił cię w swoje objęcia

I rzekł: że kocham! próżne są, daremne,
Niechaj pochłoną cię przepaści ciemne,
Chociaż ciernistą życia mego droga...
Idę samotny w dal bo wierzę w Boga.

Miron.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

Kiedy weszli do pomieszkania, Prosper nie oglądając się po za siebie, choć wiedział że młodzi rozmawiając idą za nim od samego prawie kościoła, zajął się pomieszczeniem na zwykłem miejscu książki, laski i kapelusza. Władysław zatrzymał się blizko drzwi, Zosia pomiędzy nim a wujem.

Izdebka ptasiarza była szczupła i dość przyciemniona. Zapełniona po bokach różnemi sprzętami i przyborami jego handlu, z wązkiem przejściem przez środek, wyglądała więcej na dziurę magazynową napełnioną staremi zużytemi gratami, jak na pokój mieszkalny.

Ojciec Zosi miał mieszkanie równie skromnie urządzone; ale przynajmniej widne, dość obszerne i nie tak strasznie zapchane jak tutaj, że zdawało się iż najmniejsze poruszenie jest niepodobne. Oświetlały je dwa obszerne okna w których ustawione doniczki z kwiatami nadawały pewien wdzięk jakiego tu i śladu dopatrzeć było trudno. Władysławowi przyzwyczajonemu do wspaniale przystrojonych salonów swego ojca, biedota ta wydała się strasznie dziwną, troszkę wstrętną, nawet Zosia nie tak uroczą jak ją sobie przedstawiał w swoich marzeniach. Stał też jak odurzony, nie wiedząc co z sobą zrobić. Zosia nie przypuszczając tego wrażenia tak niekorzystnego, wybawiła go z kłopotu, i jak tylko Prosper zwrócił się od kąta, rzekła zarumieniona:

— Mój wuju, to jest pan Władysław, który pragnie przedstawić ci się.

Młodzieniec ukłonił się obracając kapelusz w ręku. Zosia poszła do kuchni składając ubranie do szafy i przypasując przed siebie fartuszek.

— A! to pan Władysław, powtórzył Prosper otwierając tabakierkę, i wskazując krzesło koło kanapiny na której zajął miejsce, dodał: siadajże aspan...

Na wyraz aspan Władysław troszkę się skrzywił ale usiadł pomyślawszy:

— Czy mnie ten dziad bierze za fagasa z którym można wstąpić do szynku i napić się wódki?

— Zosia, odezwał się Prosper, powiedziała mi że pan jesteś nie tak jak drudzy furfanci, co to w głowie i za grosz nie mają statku.

— Bardzo wdzięczny jestem pannie Zofii, przerwał Władysław, że mnie tak dobrze uprzedziła w opinii szanownego pana.

— Zapewne, mruknął starzec, ale Zosia za nadto może uprzedzona, a toć to moja jedyna już pociecha... boję się... lękam...

— A i czegóż się pan lęka? zapytał Władysław z uśmiechem.

Prosper stuknął w tabakierkę, ścisnął usta i pokręciwszy głową odrzekł po chwili:

— Czego się lękam? To aspan tego nie wiesz?

— Moje postanowienie...

— To nic dla mnie nie znaczy, przerwał Prosper z pewną niecierpliwością. Przy tem samem postanowieniu, ojciec Zosi zamartwił się, mnie myślałem że serce pęknie a biedna dziewczyna o mało że nie wypłakała oczów, zbladła, wychudła i rzuconą została na poniewierkę jak przestępca w jakiejś wielkiej niegodziwości, której się przecie nie dopuściła.

— Wszystko to na nieszczęście miało miejsce, odezwał się wzdychając Władysław, aleć ja temu nie winien, nie byłem panem swojej woli, dziś inny stan rzeczy...

— I jakiż to inny ten stan rzeczy?

— Zerwałem zupełnie z rodziną a nawet z ojcem już się nie widuje.

— Nawet z ojcem? To źle panie Władysławie. Złem dzieciom Bóg niebłogosławi.

— Było to koniecznością, musiałem wybierać między mojem pragnieniem a wolą ojca, odrzekł młodzieniec troszkę pomieszany, sercu zaś swemu nie mogłem zadać przymusu.

— Troszkę to usprawiedliwią bunt tak naganny, bo my choć biedni nie zasługujemy na to żeby nami... poniewierano jak chetką pętelką...

— Najzupełniej podzielam zdanie szanownego pana, i samem tn przybyciem daję tego dowód najwymowniejszy.

— Powinien to był ojciec aspana zrobić, tak jak zwyczaj stary to nakazuje.....

— Ojciec mój? zapytał z podziwieniem Władysław jakby nie dosłyszał słów Prospera.

— A! tak, ojciec, cóżby w tem było dziwnego? On sobie panem w swojem bogactwie a ja w swojej chudobie.

Władysław nie śmiał zaprzeczyć uwadze.

— Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby to stać się mogło, rzekł, ale uprzedzenie ojca zbyt silne, tylko czas może ułagodzić, gdy się przekona, że przez małżeństwo z panną Zofią zostałem szczęśliwy.

— Przez małżeństwo! mruknął Prosper, i tak już jesteś jego aspan pewny, jak bułki na straganie trzymając dwugroszówkę w ręku?

— Panna Zofia przyrzekła mi...

— A ja? zapytał Prosper wlepiając w młodzieńca spojrzenie, czy to u aspana nic już nie znaczę? Czyż sądzisz że Zosia wolą swego jedynego już opiekuna tak pogardzi, jak aspan postanowieniem swego ojca?

— Sądzę że nie będzie narażoną na podobną próbę.

— A dla czegóżby nie? Ja stary, doświadczony, to widzę to czego ona nie widzi.

— Nie przeczę temu, odezwał się Władysław rozdrazniony przypuszczeniem odmowy i spoglądając na granatową z pętlicami kapotę starca, robiącą go podobnym do karbowego lub włodarza w dobrach zamożniejszego właściciela.

— Nie przeczę temu, mówił dalej, ale coby szanowny pan mógł inaczej widzieć jak panna Zofia to tego nawet się domyślić nie umiem.

— Hm! mruknął Prosper, to rzecz niezbyt trudna.

— Na przykład, radbym się dowiedzieć?

Ton zapytania Prosperowi bardzo się nie spodobał. Stuknął też niecierpliwie w tabakierkę, chrząknął i odrzekł:

— Mój panie kochany, tak tu rozprawiasz jakbyś był pewny że mi łaskę wyrządzasz. Ja zaś takiej łaski...

— Przepraszam szanownego pana, przerwał Władysław tracąc także po części cierpliwość, ale pan ze mną tak postępujesz jakbyś nigdy o mnie nie słyszał i nie wiedział czego pragnę.

— Owszem, wiem dobrze, że aspan jesteś panicz i że pragniesz na nowo zakłócić nam spokojność......

— Wymówkę tę drugi raz już słyszę, przerwał Władysław powstając z siedzenia, i przyznam się że mnie bardzo dziwi. Ofiara jaką z siebie robię dla panny Zofii powinna wpłynąć na zapomnienie tych przykrych drobnostek, których...

— Drobnostek! powtórzył ze zgrozą Prosper. To aspan nazywasz drobnostką, gdy nam ból serce krwawił i jednego z pomiędzy nas wpędził do grobu? O! bodajeś aspan nigdy podobnej drobnostki nie doświadczał, bodajeś zapomniał drogi prowadzącej do naszej chudoby, bodajem zatracił pamięć tego co wszyscy przecierpieliśmy. Drobnostka! Także mi furfant wyjeżdżać z taką mową i to na własnych moich śmieciach.

Prosper mówiąc to przechadzał się wzdłuż izbiny cały wrząc gniewem; Władysław oniemiał.

Zosia choć zajęta w kuchni pilnowaniem gotującego się obiadu, nadsłuchiwała jednak bacznie prowadzonej rozmowy. Cały tok jej od samego początku nie spodobał się jej, widziała w niej brak należytego dla wuja szacunku pewne lekceważenie jego osobistości, przewidywała burzą a zapobiedz jej nie mogła: trwoga poruszała jej sercem. Ostatnie słowa Władysława wzruszyły ją do głębi a wzmianka o ofiarze dla niej zrobionej rozdrażniła do ostateczności.

Godność dziewicza przechowana w pełni swojej piękności, dziwnej często bywa mocy. Wszystko przeniesie, przecierpi, przeboli, byle jej nie dotknięto: rozdrażniona wznosi się czasami do bohaterstwa.

Jednocześnie też z wybuchem gniewu Prospera, podbiegła ku niemu i tuląc do ust rękę jego szeptała:

— Wuju kochany uspokój się, jestem przekonaną że pan Władysław w tej chwili żałuje swych słów nierozważnych, jeżeli zaś ofiarę jaką dla mnie robi tak bardzo ceni, to.... zawahała się i dodała ciszej: zwalniam go z niej...

— Zwalniasz? zawołał Władysław porywczo jakby z przykrego przebudzał się marzenia.

— Ofiary nie mam prawa od pana wymagać, odrzekła Zosia z pognębieniem ledwo dosłyszanym głosem. Jestem ubogą... ale znam swoje obowiązki... wuja kocham jak ojca... kto go nie uszanuje, nie może być dobrym człowiekiem... ten i mnie szacunkiem nie obdarzy....

— Zosiu kochana, szeptał Prosper tuląc do piersi głowę dziewczęcia, jakże mnie uszczęśliwiasz, jakże jesteś dobrą i godną kochania...

Zosia załkała cichym głosem, Władysław stał oniemiały, pierś wznosiła się, usta poruszały, jakby kipiące w głowie myśli chciały się gwałtem przez nie wydrzeć i dobiedz do duszy dziewczęcia.

Patrząc w ukochaną widział w niej uosobienie wszystkich marzeń całej swej młodości. Zjednoczony z nią istotą moralną, czuł że stanowi z nią jedną całość, że przez nią przewidział, przecknął się, świat roztworzył swoje horyzonty, wskazując szczęście do którego posiadania dążył z tak wielką wytrwałością. Wszystko to w jednej chwili zobaczył zachwiane, w proch się rozsypujące, czyż miał dopuścić aby prysło jak bańka świecąca chwilkę dla uciechy życia? Czyż mógł w porywczem uniesieniu, rozedrzeć się na dwie połowy i duszę swojej duszy odepchnąć ze wzgardą i lekceważeniem? Było to niepodobieństwem, sama myśl czegoś podobnego przywodziła go do szaleństwa. Kochając, wierzył że był równie kochany, że jest nim jeszcze, bo miłości prawdziwej, jedna chwi-

la choćby najstraszliwsza zdruzgotać nie potrafi.

Wszystko to, wywołane słowami Zosi, jednym migiem przemknęło mu się w myśli. Stojąc patrzył w nią nie mogąc oczów podnieść. Płacz Zosi, rozrzewnienie starca jakby żarem piekły sprawiając ból nie do zniesienia. Chciał przemówić, upomnieć się, odwołać się do całej przeszłości, do tych drogich wspomnień, które rozrosłszy się w bujny krzew nadziei, zapuściły korzenie tak głęboko, że je wydrzeć było niepodobieństwem: ale słowa więzły mu w ustach, boleść ścikała serce. Czasami zadrgała w nim i duma męzka, nie umiejąca prosić o to czego sądzi się godną, ale były to chwile niezmiernie przelotne.

Cały ten proces myśli był wiernem odbiciem roztroju umysłowego Zosi. I ona czem została winna była swemu okochanemu. On ją nauką podniósł, natchnął nowemi pojęciami, rozbudził uczucie godności człowieczeństwa, a przez nią własnej jako kobiety. Była ona zawsze kwiatkiem nieokaźnym, pełnym wdzięku i skromności, ale posiąść go mogła tylko ręka odsuwająca starannie i delikatnie listki źdźbełek stanowiących jego ochronę, mogących jednak i zranić gdyby zbyt porywczo chciała się do niego przysunąć. Przebyte cierpienia wrodzony hart duszy wzmogły, myśli uporządkowały, uczucie ukorzyły, i Zosia choć powierzchownie została tem czem była, w moralnej swej istocie podniosła się prawie w dwójnasób.

Władysław nie znał tego i wyobrażał sobie zawsze ją, jako dziewczę trwożne, pokorne, uległe, w której wola była jego wolą.

Prosper bolał nad cierpieniem Zosi, ale po części był rad że rzeczy wzięły podobny obrót. Przecierpi, myślał sobie, przepłacze, przeboleje, ale przecie raz ten zamęt z paniczem skończy się, i moja dziewczka kochana wybije sobie z głowy to, co w żadnym razie szczęścia jej nie zapewni. Niech sobie idzie na bory na lasy a nas zostawi w pokoju, im prędzej to zrobi tym lepiej.

— No, nie płacz moje dziecko, odezwał się, Bogu powinnaś podziękować że ci oczy otworzył. Ot! widzisz jakie to *drobnostki*, wniósł twój panicz do naszej chudoby. Drobnostka! drobnostka! powtórzył z oburzeniem odchodząc od Zosi usuwającej się na krzesło z chusteczką przyłożoną do oczów.

— Jeżeli wyrażeniem mojem, odezwał się Władysław, tak wielką sprawiłem przykrość szanownemu panu, to żałuje niewymownie... Byłem wzruszony wymówką niezasłużoną a do mnie skierowaną po dwa razy... należało wprawdzie zmilknąć. ale...... szanowny panie, jestem trochę porywczy, żałując swej nierozwagi, przepraszam całem sercem..... cóż więcej mogę zrobić?...

— Hm! hm! chrząknął Prosper przerzucając spojrzenie z Władysława na Zosię.

— Dziękuję panu, odezwała się Zosia, bardzo dziękuję, byłam pewną że się nie zawiodę na pańskiej grzeczności...

— Czy tylko na grzeczności?

Zosia nic nie odpowiedziała.

— Panno Zofiio, mówił dalej Władysław wzruszonym głosem, racz mnie objaśnić, co znaczyły ostatnie twoje słowa, które tak ci trudno było wymówić a mnie... wysłuchać? Jesteś panią swojej woli, serca i ręki... jeźlim się nie unosił zbytnią zarozumiałością, względy twoje posiadałem, przynajmniej tak mi się zdaje...

— Zdaje się! powtórzyła mimowoli Zosia z ciężkiem westchnieniem i znowu chustką zasłoniła oczy.

— Jakże mi boleśnie, mówił dalej Władysław gdy Prosper wsunął się pomiędzy klatki z ptakami, że mimowoli stałem się powodem twego zmartwienia, panno Zofio. Nie przypuszczałem abyś tak była drażliwą...

— To nie drażliwość panie Władysławie, przerwała Zosia, ale oburzenie...

— Oburzenie? Czyż mogło jedno słowo, nawet przypuszczam niewłaściwe, wywołać w pani gniew... z groźbą tak wielkiego znaczenia?

— Prawda, że to było jedno tylko słowo, ale jakże wymowne...

— Tajemniczych w nim myśli nawet się nie domyślam. Gdybyś pani dawniejszem była dla mnie ożywiona uczuciem, nie zwróciłabyś na nie nawet uwagi, a gdyby nawet cokolwiek cię podrażniło, tobyś się w tej chwili uspokoiła przekonaniem, że ten co je wymówił dał już dowody swego nieograniczonego dla ciebie poświęcenia, że je wymówił z braku namysłu nad wyborem wyrazu odpowiadającego głównej jego myśli.

— Gdyby tak było....

— Czyż możesz wątpić?

Zosia pomyślała chwilkę i zwracając się ku Władysławowi, odrzekła z widocznym wysiłkiem ale ze stanowczością jakiej się zapewne nie spodziewał:

— Nie łudź się panie Władysławie. Każda ofiara jest łaską, gdybyś podobnego przekonania nie miał w sobie nie byłbyś go zdradził nawet jednem słowem tak dla mnie bolesnem. Każda ofiara to ciężar wielki... Kiedyś może obudzić żal że spełnioną została, czyż mogę narażać na tak wielkie niebezpieczeństwo, zarówno moje jak i twoje szczęście panie Władysławie?

Prosper, zapominając o ptakach, z podziwem zwrócił się do dziewczęcia, którego lekko zarumienione policzki świadczyły o wewnętrznem wzruszeniu: Władysław niemniejszym przejęty podziwem, patrzył na nią z pewnym rodzajem żalu ale w którym migał gniew i uwielbienie zarazem. Duma męzka przyciszy go, gniew wziął przewagę.

— Panno Zofio! odezwał się, uczyniłaś mi zarzut zbyt bolesny którego nigdy nie przewidywałem. Szczęście twoje więcej mnie obchodzi jak własne, byłem pewny że ci go zapewnie, jeżeli jednak wątpisz... czyż mogę narzucać się... czyż mogę jak żebrak....

— I ja nie żebraczka, przerwała Zosia, która z wdzięcznością przyjmuje rzuconą sobie ofiarę.

— Czyż mi to pani potrzebujesz przypominać? Czyż tyloletnie prawie codzienne rozmowy z tobą panno Zofio, tak mnie uszczęśliwiające, tak miłe, tak serdeczne, nie powinny cię były przekonać, o mojej miłości i szacunku jakiemi dla ciebie byłem i jestem przejęty? Jeżeli to, co tak długi czas twórzył, co wrastało we mnie powolnie, co chwila co godzina, ma zostać przez ciebie niemal pogardzone... to wybacz pani, że zmuszony jestem szukać tego przyczyny w czemś dla mnie dotąd niepojętem, a czego nie chciałbym a nawet nie śmiem nazwać.....

— Czem? zapytała Zosia czekając nadaremnie na dokończenie zdania.

— Kiedy żądasz, powiem otwarcie, oto nie śmiem nazwać..... kaprysem albo lekkomyślnością.

Zosia poruszyła się niespokojnie i dopiero po chwili odrzekła:

— Omyliłeś się panie Władysławie, drażliwość moja, jak ją nazwałeś, nie wypływa ani z kaprysu ani lekkomyślności, ale wprost zupełnie z innych powodów. Nie potrzebuję ci przypominać ilem przecierpiała po śmierci kochanego mego ojca...

— Domyślam się i tymbardziej wydziwić się nie mogę, że tak łatwo przeszłość naszą zdajesz się puszczać w niepamięć...

— Nie przerywaj mi panie Władysławie. Czas tego smutku niczem nieukojonego prawie roczny nie pozostał bez zbawiennego wpływu. Przedtem byłam dzieckiem, przez cierpienie stałam się myślącą i zastanawiającą. Rozważając też wszystkie twoje ze mną rozmowy, twoje postępowanie, najdrobniejsze wypadki, słowa urywkowe, mimowoli pozostało we mnie dziwne jakieś przeczucie, że postanowienie swe rzeczywiście uważasz za wielką ze swej strony ofiarę. Odganiałam myśl tak bolesną, starałam się ją zagłuszyć, zapomnieć, i przycichła wreszcie... dziś ożyła w całej swej mocy... przeczucie nie omyliło... czyż zatem nie jest moim obowiązkiem odrzucić to, co jest z twej strony panie Władysławie tak wielką ofiarą a dla mnie łaską może także w przystępie lekkomyślnego kaprysu zrobioną?

— Jakże możesz na domysłach tylko tworzyć przypuszczenia tak mi ubliżające? odparł Władysław. I na mnie rok czasu równie zbawiennie wpłynął, dojrzałem umysłowo, rozpatrzyłem się we własnem sercu i kiedy zrozumiałem... jak mi jesteś drogą, jak konieczną do mego szczęścia... uśmiechasz się z powątpiewaniem? Wybacz, ale zdaje mi się że nie zasłużyłem na to.....

— Gdybym była konieczną dla pańskiego szczęścia, odrzekła Zosia drżącym głosem: gdybyś to tak pojmował jak ja rozumiałam, byłbyś także zrozumiał że i moja ofiara równą jest pańskiej a może ją nawet znacznie przewyższa. Jam jednak o tem najmniejszej nie zrobiła wzmianki, nie pomyślałam nawet, gdy ty panie Władysławie miałeś ją zawsze w myśli a dziś wypowiedziałeś to głośno jakby dla wykazania swojej zasługi.

— Uprzedziłaś się panno Zofio, odezwał się Władysław wyjmując rękawiczki jakby się przygotowywał do odejścia. Znasz mnie już pani o tyle przy najmniej, iż wiesz że w postanowieniu swojem jestem niewzruszony. Jeżeli pragniesz odsunąć mnie od siebie raz na zawsze, niechże wola twoja spełni się, ale po długim i gruntownym przynajmniej namyśle...

— Jużem go zrobiła, szepnęła Zosia.

— Zrobiłaś? powtórzył Władysław z gwałtownością, od której zadrgały mu policzki. Namyśliłaś się pani i postanowiłaś? Nic mi zatem nie pozostaje jak tylko zastosować się do jej woli. Nie przypuszczałem nigdy jednak... ale nie chcę pani robić wymówek, nie chcę zgłębiać rzeczywistych pobudek do tak szybkiego i stanowczego wyroku. Domyślam się ich... syn bogatego pana zasługiwał na względy do których biedny czeladnik stolarski nie ma żadnego prawa...

— Ależ to obelga! krzyknęła Zosia podnosząc się z kanapy z oburzeniem. Jak pan śmiesz....

Zosia z załamanemi rękami przeszła przez izbinę i zatrzymała się przy okienku w drzwiach prowadzących do sklepu. Nastała chwila milczenia: z czołem przychylonem do szyby, stała nieporuszona. Władysław wciągał rękawiczki.

— Rozstając się z tobą panno Zofio, zapewne raz na zawsze, odezwał się po chwili, muszę ci jednak zrobić wymówkę żeś mnie naraziła na boleść tak straszną.... o jakiej nie miałem nawet wyobrażenia. Jestem jak odurzony... zdaje mi się że rozum mój błąka się..

— Ah! krzyknęła Zosia zwracając się nagle.

— Przelękłaś się?

— Nie mów tak panie Władysławie, zawołała błagalnie, na miłość Boską nie mów tak!... Jeżeli równie jak ja cierpisz...

— Czyż możesz o tem wątpić? zapytał Władysław podsuwając się ku Zosi i tuląc rękę jej do piersi czego mu nie wzbroniła. Może zawiniłem ale czyż godziło się tak ze mną postąpić, ze mną com

wszystko poświęcił dla ciebie? Czyś zapomniała o tem?

— O! nigdy! zawołała Zosia, ale bałam się wielkości ofiary tak bezinteresownej. Wierzyłam w jej szczerość, a jednak lękałam się czy równą obudzę wiarę w moje serce. Stanowisko twoje mogłoby zawrócić głowę nie jednej młodej biednej dziewczyny, ale nie moją. Kiedyś mi powiedział, że teraz jesteś biednym i w pracy własnej szukać musisz środków utrzymania, jam się tem niemal ucieszyła. Było to może brzydkie samolubstwo..... wybacz.... ale chciałam dać dowód równej jak ty bezinteresowności. I pragnęłam tego nienadaremnie... podejrzenie nurtowało widocznie w tobie panie Władysławie... gdyś je ośmielił się głośno wymówić....

— O! moja najdroższa, jedyna i najukochańsza duszo mojej duszy, zawołał z rozrzewnieniem Władysław, całując ręce dzieweczki: wybacz uniesieniu zbolałego serca. Tracić ciebie, to tracić więcej jak życie, bo ze śmiercią kończy się wszystko, gdy bez ciebie zaczęłoby się dopiero ale jakie? Wszystko com wymarzył, com zapragnął, co w urzeczywistnieniu zdawało mi się tak wielkiem, pięknem, tyś jednem słowem chciała to wyrwać z mego serca.... Było to okrucieństwo do spotkania się z którem nie byłem przygotowany. Cóż więc dziwnego że w chwili tak dla mnie strasznej, rzuciłem słowa które nazwałaś obelgą?

— Zmusiłeś mnie do tego...

— Prawda moja droga, sam nie wiem co się ze mną dzieje. Żal, boleść, szczęście, przejmują mnie całego... zdaje mi się że z serca spadł mi ciężar który je przytłaczał, czuję w niem dziwne uspokojenie... nową jakby radość przedtem mi nieznaną, a jednak patrz... ja płaczę... ale łzami wdzięczności ku Bogu, że mi przeznaczył cię za pociechę mego żywota. Gdybyś była bogatą, gdybym pozostał tem czem właściwie jestem a z czego wydziedziczyła mnie wola ojca, może wiara wzajemna w miłość naszą ucierpiałaby na tem. Bóg dobry inaczej rozporządził, jesteśmy biedni, więc równi sobie, łączy nas jedynie miłość prawdziwa, ja wierzę że posiadam twoje serce z uczuciem bezograniczonem, ty nie wątpisz także, że kocham ciebie, żeś mi jedyną przez Boga przeznaczoną. Wszak prawda? Zosiu! powiedz... powiedz...

— Prawda, szepnęła Zosia z rozrzewnieniem.

Władysław wpatrzył się w nią, rączki jej przyłożył do ust i zawołał z czuciem:

— Jakże jestem szczęśliwy!

Prosper który całej tej rozmowy wysłuchał w skrytce za parawanem i przez szparę patrzył na wszystko co się działo, podsunął się ku młodej parze w chwili gdy Władysław ostatnie wymawiał wyrazy.

— Hm! hm! mruknął zatrzymując się przy nich.

— Ojcze, drogi ojcze! zawołała Zosia wyciągając ku starcowi rękę.

— Pobłogosław nam szanowny panie, odezwał się Władysław zwracając ku starcowi.

— Czy asaństwo przystępujecie już do ołtarza?

d. c. n.

WIEDEŃ I ŻYCIE WIEDEŃSKIE.

PRZEZ

Wiktora Tissot.

(Autora słynnej „Podróży do kraju miliardów".)

Streszczone przez J. B.

(Dalszy ciąg).

W tem nagle na pełnem morzu ukazał się *Exploratore*; pojawienie się jego dawało do myślenia. Admirał Persano wydał rozkaz aby wojsko napowrót wsiadło na statki i uszykował swe okręta, gdyż — ktoby to był przypuścił—eskadra austryacka przybywała na pomoc Lissie. Widziano przez lunety jak zbliża się śpiesznie w takim szyku jakby zamierzała zatopić flotę nieprzyjacielską. Persano utworzywszy linię bojową, wraz z synem swoim szefem sztabu głównego i jednym z oficerów, przeszedł na pokład *Affondatore*. Jeden tylko deputowany Boggio nie chciał opuścić *Re d'Italia*.

Eskadra austryacka przypływała z zadziwiającym pośpiechem, prując fale morskie jakby igrała z niemi; już gołem okiem można było dojrzeć maszty, liny, bandery. Admirał Nersano położył trzymaną w ręku lunetę, i z wyciągniętą szyją, z natężonym wzrokiem, zaniepokojony, nie tak pewnym jek zwykle głosem komenderował manewra. Nie przewidział i nie przypuszczał tego zuchwałego ataku, zdaje się bał się jakiegoś podstępu, tak zdawał się wahający i niepewny.

Flota austryacka zbliżała się, płynąc zawsze równie spiesznie, z wzorową dokładnością obrotów: zdało się że wiatr niesie ją na swych skrzydłach. Przedział dzielący obie eskadry zmniejszał się z każdą chwilą.

Gdy już flota austryacka zbliżyła się na odległość strzałów, admirał kazał powitać ją gradem kul; niezmieszana, odpowiedziała dzielnie, ale oślepiona własnym dymem, chybiła celu i zamiast do okrętów nieprzyjacielskich, wystrzeliła w próżne przestrzenie, pozostawione przez admirała dla utworzenia linij bojowych.

— Zmienić kierunek! kszyknął Tegethof, który stał na przodzie pierwszego okrętu. I w tejże chwili skinął na dobosza, aby zatrąbił pobudkę bojową.

Zakomenderowany manewr wykonany został z wielkim pospiechem i dokładnością, i eskadra austryacka, rzuciwszy się na linię nieprzyjacielską uderzyła na nią i zgniotła, z okrzykiem; *Niech żyje Austrya!* Nastąpiła walka straszna, bezładna, okropny pojedynek między tymi goniącymi, ścigającymi i strzelającymi do siebie z dział okrętami, w pośród klątw, obelg, przekleństw i huku dział. Walczący widzieli się dobrze i wygrażali sobie wzajemnie. Chwilami ogień ustawał; wtedy rozlegały się złorzeczenia i przeklinania. Okręt admirała Vegethof'a, płynął z całą siłą pary, przód okryty pianą, pędził jak wściekły uganiając się za *Affondatore*. Wiedział że Persano kazał pudło jego pomalować szaro-niebiesko, upatrywał go więc wszędzie. Dwa razy uderzył na dwa pancerniki biorąc je za *Affondatore*; nareszcie dym jakoś się rozstąpił, dostrzegł pożądane pudło.

Oczy jego zapałały, uśmiech rozjaśnił twarz bladą, porwał tubę i krótkim, spiesznym, rozkazującym głosem, krzyknął do mechaników: „całą siłą pary!" Potem wyprostował się, skrzyżował ręce na piersiach i czekał nieruchomy. Rozległ się głośny świst; fregata jakby rozumiejąc myśl dowódzcy, zaorała szeroki szlak, i ze ślepą zapamiętałością rzuciła się na statek jaki miała przed sobą. W tejże chwili straszny trzask zagłuszył odgłos bitwy; blaty żelaznego pancerza wyleciały w powietrze jak szczątki drzwi wysadzonych; przedziurawiony okręt pochylił się i ukrył w morzu swą straszną ranę. Spostrzegłszy że okręt tonie zwolna, osada włoska wydała okrzyk rozpaczy i przerażenia, poczem nastało milczenie. I znowu drugi, rozdzierający krzyk śmiertelnej trwogi wydarł się ze wszystkich piersi; przez chwilę widać było tylko głowy i zaciśnięte ręce wyłaniające się z głębi fal: okręt zatonął... Nie był to jednak *Affondatore*, jak mniemał admirał Tegethof, ale *Re d'Italia* mający na pokładzie 400 żołnierzy. Ci tylko co umieli pływać, zdołali się uratować.

Gdyby nie von Sternek, kapitan admiralskiego austryackiego okrętu, który w chwili uderzenia wypuścił parę aby odłączyć przód okrętu od tyłu okrętu nieprzyjacielskiego, aba okręty byłyby zatonęły niezawodnie. Skutkiem gwałtownego uderzenia wszyscy majtkowie austryaccy upadli na pomost, ale zerwali się zupełnie zdrowi, wołając: *Niech żyje Austrya!*

Była godzina trzy kwandranse na jedenastą; Włosi przerażeni uciekli. Austryacka flota puściła się za nimi, ale ciężkie drewniane okręty nie mogły ich doścignąć. W chwili gdy kapitan okrętu *Palestro* krzyknął: *Niech żyją Włochy!* odpowiadając na okrzyki marynarzy austryackich, w nieopancerzoną część jego statku ugodził granat i zapalił prochownię. Słup iskier i płomieni uniósł się ku niebu, rozległ się huk podobny do piorunu i na wszystkie strony rozleciały się szczątki drzewa, żelaza, dział i pokaleczonych członków ciał. Przedziurawiony okręt stał kilka sekund na powierzchni fal jak wybuchający wulkan, poczem wśród grobowego milczenia znikł w otchłaniach wód.

Wszystko się skończyło; Adryatyk opróżniał; flota włoska i admirał Persano z miotłą już się więcej nie pokazał.

W chwili wcielenia swego do Austryi w r. 1767, Istrya była zniszczoną i opustoszałą; samolubstwo rzeczypospolitej Weneckiej zagarnęło na swą korzyść wszelkie bogactwa i żywotne siły tej prowincyi: rolnictwo było nadzwyczaj zaniedbane, handel i przemysł nie istniały wcale.

Rząd austryacki zaprowadził w Istryi administracyą odpowiednią jej potrzebom, urządził drogi, pozakładał szkoły i zreorganizował gminy. Dziś prowincya ta cieszy się autonomią; ma swój Landtag i dwóch deputowanych wysyła do Rady Państwa. Od czasu Maryi-Teressy, która nadała pierwsze przywileje miastu Triest, cesarze austryaccy, bardzo troskliwie zajmowali się tą okolicą, zwaną po niemiecku *Kustenland*.

Nie dawno temu, przybyło z Wiednia do Tryestu czternastu deputowanych w celu polepszenia położenia ludności istryockich i dalmackich; korzystając z tej sposobości, garstka przedstawicieli stronnictwa włoskiego, zrobiła manifestacyą przed Ratuszem, w którym odbywał się bankiet wyprawiony przez miasto Triest na cześć reprezentantów rządu!

Od stacyi San-Peter postać kraju zmienia się zupełnie. Zamiast skalistych nagich gór, piętrzą się lesiste wzgórza; dalej dzwonnica w około której tulą się szare i nizkie domki. To Karniola, to Laybach, który równie jak Agram, stolica Kroacyi, był niedawno teatrem głośnych manifestacyi panslawistycznych. Na 446,000 Słoweńców w Illyryi jest tylko 36,000 Niemców. Co do Kroacyi, liczącej 1,846,150 mieszkańców; jest tam 74 na 100 Słowian, 23 na 100 Serbów, 3 na 100 Madziarów, Albańczyków i Niemców.

We wszystkich tych prowincyach, ludność żyjąca bardzo skromnie i umiarkowanie, jest silna i piękna; żyje długo i często spotyka się tu ludzi przeszło stuletnich. Roczny przyrost urodzeń dochodzi w Austryi-Węgrzech do 325,000; to też obecnie ludność jej przewyższa ludność Francyi. Obecnie liczą 38,000,000 mieszkańców.

Wsie słowiańskie leżące obok niemieckich, przynajmniej te przez któreśmy przejeżdżali, uchodzą za pracowitsze i moralniejsze od niemieckich; w niemieckich liczą pięć do sześciu razy więcej nieprawych urodzeń. Pomiędzy Słowianami rzadko kie-

dy napotyka się kretynów lub głuchoniemych, gdy tymczasem wśród Niemców w Karyntyi liczą 4,02 a w Styryi 3,7.

W Laybach pociąg zatrzymuje się tylko kilka minut; znajdujący się tu posąg Radetzky'ego, nie budzi co prawda w podróżnych chęci dłuższego pozostania. Rzeczywiście Laybach nazywa się Lublana; jest to punkt bardzo ważny, panujący nad przejściem z Adryatyku na Dunaj.

Karniola- jest krajem cudów podziemnych. Pod ziemią zasypaną kamykami i odłamami granitu, mieszczą się cudowne groty i pieczary, podziemia w których znajdują się jakby zaczarowane pałace.

Groty Adelsberg przewyższają marzenia najbujniejszej wyobraźni; skupienia wapienne, stalaktyty i stalakmity przybrały postać drzew, tworzą jakby lasy cyprysowe i palmowe. To opuszczają się w udatnie ułożonych draperyach, to wznoszą w kształcie kolumn, filarów, lub pochylają w łuki i nawy jak gotyckie katedry, a w pośród wszystkich tych fantastycznych utworów, ukazują się zamglone postacie ludzi i zwierząt. W pieczarach tych znajdują się czarne jeziora zaludnione rybami z oczami bez nerwu optycznego: są tu różne niewidome gady, nietoperze, owady i skorupiaki pozbawione wzroku. Słychać szum wodospadów i źródeł jakby mruczących z niezadowolnieniem że przerywasz ich samotność. Dwa razy do roku przybywają tu tłumy z Wiednia i z Triestu, podziwiać przy blasku iluminacyi te przepyszne groty które według mniemań pospólstwa zamieszkane są przez tajemnicze duchy i istoty nadprzyrodzone.

Karniola posiada słynną kopalnię merkuryuszu, kopalnię Idria. Kiedyś, jako robotników używano tylko skazanych na śmierć, którzy umierali tam w ciągu roku; dziś pracują i inni a między tymi niektórzy górnicy spożywają dwa lub trzy razy na tydzień aż do dziesięciu gran arszeniku i mimo to są zupełnie zdrowi.

Ale pociąg dowiózł nas do Styryi, sąsiadki Karyntyi i Kroacyi. Cóż to za szachownica geograficzna ta monarchia austryacka! Gdyby cesarz Franciszek Józef chciał rozmówić się ze wszystkimi swymi poddanymi, musiałby posiadać siedmnaście języków i dyalektów. Pod berłem jego zostaje aż czternaście narodowości, któremi trzeba rządzić, kierować, utrzymać w porządku, zadawalniać... istny harem ludności! Austrya jest nieco podobna do Francyi z przed czterystu laty, kiedy to jeszcze Burgundya, Normandya, i t. d. tworzyły oddzielne narodowości. Cesarz Józef II, mówił raz do jednego z ambasadorów: „Ludy moje nie znają się wzajemnie, i to bardzo dobrze, bo nie zapadają jednocześnie na jedne choroby. Używam jednych do poskromienia drugich. Węgrów i Czechów przeciwstawiam Włochom, Włochów Węgrom; sąsiedzi strzegą się wzajemnie. U was gorzej, gdy się objawi gorączka, udziela się jednocześnie wszystkim.

System taki mógł się nadać dopókąd cała Europa podzielona była na drobne państewka, lecz dziś gdy już dokonaną została jedność włoska i niemiecka i gdy myślą o zjednoczeniu Słowian, podobny system mógłby stać się bardzo zgubnym. Owo sławne wyrażenie księcia Metternicha o Włoszech, nie da się nawet odwrócić przeciw Austryi, która nie jest nawet „wyrażeniem geograficznem“ gdyż gdyby różne składające ją ludy rozdzieliły się Austrya-Węgry przestałyby istnieć. Jedynem jej szczęściem że tak Słowianie jak Węgrzy, Czechy i Niemcy, nie umieją porozumieć się z sobą. Nie łączą ich żadne węzły braterstwa, wszyscy odmiennej, przeciwnej sobie trzymają się polityki. Liczbą, Słowianie przewyższają inne narodowości; na czterech Austryaków wypada jeden Niemiec, a na siedmiu mieszkańców jeden zaledwie Madziar.

Po porażce w 1866 roku, Austrya nie umiała pojąć własnego interesu, który nakazywał jej przenieść na Wschód wpływ utracony na Zachodzie, czem nawet mogłaby jeźli nie przeszkodzić, to przynajmniej odwlec krwawe obecnie staczane walki. Z tej stony miała rozległe i płodne do działania pole, jako stojąca na progu krajów które domagały się uprawy i cywilizacyi, i zamiast rozwinąć czynność w tym kierunku zatonęła w bezwładności, nie dając znaku żywotności ani potęgi. Podstawy polityczne i moralne zarówno zostały zachwiane: żadnego ześrodkowania, żadnego punktu oparcia — bezład i chaos. Ani śladu harmonii wśród najsprzeczniejszych dążeń, żądań i interesów, Wiedeń i Peszt igrały z koroną jakby z piłką.

Tak rozmyślając stanąłem na stacyi Pragerhof, gdzie nowi podróżni wsiedli do wagonu. Jakaś otyła dama zajmująca miejsce za dwie osób, która wtajemnicza swego sąsiada w swoje posłannictwo, mówiąc że jest Komisyonerką wina Szampańskiego z pewnej fabryki berlińskiej, i że ma ślicznego pieska Milorda, którego nie pozwolono jej trzymać na kolanach. Sąsiad jej, stary jakiś wojskowy słucha nie słuchając, ale za to bardzo przypatruje się sąsiadce z prawej strony, młodej i ładnej Polce, wracającej z Włoch wraz z matką. Dalej siedzi jakiś Niemiec w okularach, który pali fajkę i wpatruje się w trzymaną w ręku fotografią swej narzeczonej.

Dojechaliśmy do miejscowości w której miało miejsce owo zapadnięcie się wioski Steinbruck. Któż nie przypomniałby sobie owego strasznego wydarzenia, którego powodem było załamanie się skał. Wioska Steinbruck leżała w głębi małej doliny, nad brzegami Sawy. Przeszedł pociąg idący z Wiednia do Triestu, ale wychodzący z tego miasta byłby niezawodnie roztrzaskał się o ogromne złomy kamieni zawalające drogę, gdyż tak telegraf jak słupy sygnałowe zostały zniszczone. Nadzorca tej części, pomimo ciemności nie zawahał się ani chwili, przebył Sawę wpław, i przeskakując ze skały na skałę stanął przed pociągiem, dając sygnał swoją latarnią. Odważny ten człowiek który z narażeniem własnego życia ocalił setki podróżnych, uważał to za rzecz tak prostą, iż ździwił się niewymownie gdy dyrektor oceniając ten czyn bohaterski wyznaczył mu gratyfikacyą.

— Czy prawda że rząd austryacki mobilizuje armią? zapytałem kapitana, sąsiada otyłej pani.

— Cóż znowu!... to z Berlina rozchodzą się takie baśnie. Chcą tam koniecznie wprowadzić nas w błoto; namawiają do zajęcia Bośnii i Hercegowiny i przyłączenia jej do monarchii, bo wiedzą dobrze iż gdy Słowianie będą w większości, poddani niemieckiego pochodzenia będą krzyczeć na ucisk i zwrócą się do księcia Bismarck'a, aby ich wyzwolił z pod jarzma austryackiego. Znamy się na tem.

Komisyonerka będąca przedstawicielką nietylko berlińskiego szampana ale i pruskiej pyszałkowatości, zaprotestowała słowom kapitana mówiąc: „To Francuzi wymyślają takie wieści!

— Ha! Berlińczycy wymyślili przecież szampana! odrzekł kapitan.

— Masz tobie! nie potwarzaj pan *champagné-Bismarck* domu Fuchs et C-ie! mego szampana. Skosztuj go tylko, panie kapitanie, a zobaczymy co powiesz o nim.

Wyjęła z port-saka małą buteleczkę której szyja oblepiona była złotym papierem z portretem księcia Bismarck'a; odkorkowała i podała kapitanowi. Wychylił całą duszkiem.

— Ujdzie, ujdzie, rzekł cmokając językiem i oddając próżną butelkę.

Przybyliśmy do Gratcu, stolicy Styryi; jest to jedno z największych miast austryackich, założone zostało w szóstym wieku przez Słowian. Jest to dziś najwięcej *niemieckie* miasto z całej monarchii, w znaczeniu pożądanem dla Prus; jak w Trieście miewają miejsce manifestacye włoskie, tak w Gratcu odbywają się manifestacye pruskie.

Trudno wystawić sobie jak bezczelnie prusacy szerzą swoją propagandę, niekiedy z poniżeniem monarchy austryackiego i austryackiej dumy narodowej. I tak na ostatnim zjeździe przyrodników w Gratcu, wywieszono same sztandary pruskie, z pominięciem austryackich. Mieszkańcy, napojeni pruskiemi dążnościami, nie widzieli w tem nic złego, i patrzyli spokojnie na zerwanie chorągwi narodowej, którą odważny jakiś i wierny Austryak, zatknął na jednej z wież kościelnych.

W Wyższej Austryi, w Ried, na zjeździe rolniczym odbytym w roku 1871, wywieszono także samą pruską chorągiew, ale tym razem nie powiodło się pruskofilom. „Bezirk-Hauptman kazał ją zdjąć i skazał członków zjazdu na 50 flornnów kary.

Gratc leży w prześlicznem położeniu; na miejscu dawnych fortyfikacyi wznoszą się prześliczne ogrody a stara forteca przedstawia wspaniały i malowniczy widok. Leży wśród wysokich gór, jakby wałem ją opasujących, nad brzegiem ładnej rzeki Mur. Piękne to, urocze i wesołe miasto, w którem żyje się tanio i wygodnie. Tu zamieszkuje wielu bardzo emerytów, wszyscy ex-dygnitarze, którym po wyjściu ze służby rząd szczupłe przyznaje pensye, osiedlają się w Gratcu.

Pociąg pędzi przez ożywioną, wśród malowniczego krajobrazu wijącą się dolinę. Od czasu do czasu ukazują się na wyżynach ruiny jakiegoś zamczyska, lub łupkowy dach jakiejś białej albo różowej willi. Wkrótce zapuszczamy się w góry i zbliżamy coraz więcej do wysokich stref alpejskich. Wyłaniają się na horyzoncie cyple podobne dumnym wieżycom, śniegiem pokryte grzbiety, a na prawo i na lewo sterczą lasy sosnowe, w ściśniętym szeregu, niby armia idąca do szturmu.

W tej części Styryi znajduje się wielka ilość jeleni, kóz dzikich, sarn i głuszców. Rzadko bardzo kiedy polują tu z obławą; myśliwy sam śledzi jelenia lub giemzę w ich wysokich ukryciach; wdrapawszy się czołgając kryje się za pniem drzewa lub za skałą, i strzela i zabija z odległości 300 metrów. Trzeba mieć mocną głowę, dobre nogi i dobre oczy, aby się odważyć na tak niebezpieczne łowy; ale wszelkie trudy i niebezpieczeństwa opłaca sowicie rozkosz błąkania się po tych wyżynach, samemu w obec przyrody tak prawie pięknej i wielkiej jak w poranku stworzenia! Uroczysta cisza panuje pod sklepieniem odwiecznych lasów, w pośród tego „morza liści i marzeń“ a człowiek czując się tu wolnym, dumnie podnosi czoło.

W Peggau, u stóp Schöckl'u, postrzegliśmy kilku myśliwych; oryginalny ich ubiór podobny jest do stroju myśliwych tyrolskich. Noszą zielone pilśniowe śpiczaste kapelusze, przystrojone ogonem głuszca i brodą giemzy; kamizelkę z szarego sukna z zielonym kołnierzem i wyłogami; pantaliony z giemzowej skóry haftowane czarnym jedwabiem, grube zielone wełniane pończochy, nie zakrywające nagich kolan, szeroki pas skórzany. W ręku okuty kij góralski, karabinek mający metr długości, którego kule donoszą o ćwierć mili.

Od pewnego czasu uważałem że kapitan jest jakoś niespokojny; co chwila patrzył na zegarek, py-

tał konduktora czy prędko staniemy na stacyi, wyglądał oknem wagonu, to prawą to lewą nogę zakładał jedną na drugą i raz po raz ciągnął się za faworyty.

— Barnegg! dwie minuty! krzyknął konduktor. Kapitan wybiegł z wagonu porywając gazetę któregoś passażera. Lokomotywa gwizdnęła, zamknięto drzwiczki, zanim mieliśmy czas zawiadomić konduktora o nieobecności naszego towarzysza podróży.

Gdy się ukazał lokomotywa była w pełnym biegu — daremnie machał chustką i rękami, nie zatrzymała się. Dojeżdżając do Bruck-an-der-Mur, zapisałem sobie w notatkach:

„Nie pić *champagne-Bismarck* chyba na czczo — a nigdy w podróży.

VI.

Jestem więc w Brück przed starym pałacem książąt Styryi — i oto jeden z towarzyszy podróży powiedział mi że zamieszkiwał w nim książę Ernest Żelazny, nazwany tak dla swej nadzwyczajnej siły; wziąwszy półmisek żelazny między duży i mały palec, przełamywał go na dwoje. Legenda stara opiewa że chciał pojąć za małżonkę kobietę równie silną jak on, a nie znalazłszy jej w swoim kraju, zaślubił Polkę szlachetnego rodu, która spędzała czas uganiając się w kniejach za niedźwiedziami i tak była mocna iż uderzywszy ręką w gwóźdź wbijała go w ścianę.

Pałac książąt z filarami i kolumnadą z różnokolorowych marmurów, jest to gmach dość oryginalny, w pół-gotyckiej, pół włoskiej architektury; z pomiędzy ozdób nie bardzo w ogóle odpowiadających sobie, wyróżnia się głowa psa i głowa Mongoła.

Kościół stojący obok uchodzi za bardzo dawny; drzwi są arcydziełem ślusarskiej roboty— miano je wysłać na Wystawę paryzką.

O kilka kilometrów od Brück, leży miasto Leoben, słynne z powodu zawartego w nim traktatu pokoju, dnia 18 kwietnia 1797 roku. Jest to może najbogatsze w świecie miasto; nietylko za mieszczan swoich opłaca podatki, ale nadto pobiera jeszcze roczny dochód od gminy, posiadającej ogromne posiadłości i nieruchomości. W małym pawilonie pokazują dotąd pióro którem Napoleon I podpisał traktat pokoju; lecz zdaje się jest to mistyfikacya, gdyż jak laskę Voltaire'a, pióro to niejednokrotnie już sprzedawano Anglikom.

Wiadomo że daremnie hrabia Kobentzel probował wytargować jakieś ustępstwa od zwycięzcy. Bonaparte poczerwieniał z gniewu, rzucił trzymaną wówczas w ręku filiżankę porcelanową, i ta rozbiła się w kawałki: „Nie zmuszajcie mnie znowu do rozpoczęcia wojny, zawołał, bo w takim razie monarchia wasza rozpadnie się jak ta filiżanka.

We dwa dni później, młody jenerał rzekł z przesadą do arcyksięcia Karola: „Gdyby ten pokój ocalił choćby życie jednego człowieka, daleko byłbym z tego szczęśliwszy i dumniejszy niż ze sławy zyskanej na polu bitwy.“

Widać po upływie lat kilku, Napoleon I zapomniał co powiedział jenerał Bonaparte, gdy wziąwszy listę popisowych z rąk Berthier'a, zawołał rozpromieniony: „Mogę więc poświęcić co miesiąc 10,000 ludzi.“

Zwiedziłem ruiny starożytnego pałacu, w którym znajduje się jeszcze sześć armat francuzkich z 1792, ze skróconem godłem: *Wolność i równość*; po południu opuściłem Brück.

Droga idzie przez dolinę Murz; jest to miejscowość ruchu i pracy; koła młyńskie ciągle są czynne; ze wszech stron słychać oddech ogromnych miechów w kuźniach i warsztatach. Przejeżdżając tędy w nocy zdaje się jakby wulkany buchały ogniem albo spadłe z nieba komety sypią iskrami ze swych ognistych warkoczy. Z pod młotów wybiegają strumienie iskier, a wśród nich rysują się sylwetki silnych pracowników, niby postacie czarnych cyklopów. Przemysł miejscowy nie jest jednak eksploatowany przez krajowców; te młyny, kuźnie fabryki należą do Czechów, Francuzów Niemców. Styryjczykowie nie są przedsiębierczy ale raczej zamiłowani w życiu pasterskiem; poprzestają na bardzo małem, byle tylko żyć swobodnie w swoich ukochanych górach, śpiewać wśród nich swoje ulubione piosenki i pędzić swoją trzodę z głośnemi dzwonkami, z tak dumną miną, jak monarcha odbywający przegląd swych niezwalczonych zastępów.

W dolinie Murz nie ma krów pospolitych, ale tylko z bardzo poprawnej rasy; uczeni dowodzą że sięga ona czasów wędrówek ludów indo-germańskich. Krowy te szczycące się tak dawnem drzewem genealogicznem, są siwe, mają pyski czarne i rogi całkiem odmienne niż u bydła innej rasy.

W Murzzuschlag, kolej zaczyna wstępować na górę Semmering, oddzielającą Styryę od właściwej Austryi. Semmering ma 992 metry wysokości, a wspinająca się i przebywająca ją droga żelazna, mogłaby być uważana za dziewiąty cud świata, gdyby liczono jeszcze cuda w naszym wieku elektryczności i pary.

Kiedyś, kiedyś u stóp Semmeringu był las tak wielki i gęsty iż służył za schronienie rabusiom i złodziejom z całej monarchii; w lecie sypiali na drzewach lub w niedostępnych gęstwinach a w zimie w pieczarach. Za panowania Ottokara V rabusie ci tworzyli liczną bardzo bandę pod dowództwem głośnego bandyty, rabowali fermy i pałace oraz wszystkich przejeżdżających podróżnych. Zteroryzowali oni całą okolicę a wieśniacy przywódzcę ich nazwali Czerwonym-Dyabłem.

Według jednych, straszny ten dyabeł miał być studentem wypędzonym z uniwersytetu, według innych synem jakiegoś hrabiego, zrujnowanym przez grę i rozpustne życie. Ktokolwiek on był, nie mógł być prostym i pospolitym człowiekiem i musiał posiadać tajemnicę jakąś czarodziejską, gdyż pomimo iż był nieustannie ścigany i wielokrotnie otoczony, pomimo to zawsze zdołał gdzieś zniknąć.

(d. n.)

Kronika Paryzka.

Tak nazwany, pawilon miasta Paryża na wystawie powszechnej licznie odwiedzany, daje często nawet w drobiazgowych zarysach dokładny obraz stolicy Francyi, będącej zarazem najpiękniejszem miastem europejskiem. Paryż niezaprzeczenie jest wzorem dla wszystkich innych: jego budowle, bulwary, skwery, ogrody, teatra, dla ludzi głębiej patrzących na zarząd municypalny, wzbudzają podziw ogólny. Cudzoziemcy nawet mogą lepiej poznać wewnętrzne życie Paryża na wystawie aniżeli jeżdżąc w odkrytym powozie po ulicach miasta.

Inżynier urządzający pawilon, oprócz ogólnego obrazu Paryża w miniaturze dał jeszcze bulwary włoskie wraz z którąś z poprzecznych ulic w przecięciu. Wprowadzeni jesteśmy tym sposobem do wnętrza domów, wtajemniczeni niejako w życie codzienne mieszkańców, możemy zbadać dom drobiazgowo, począwszy od dachu już nietylko do mieszkania oddźwiernego, ale do najgłębszych piwnic i kryjówek. Okazy tego rodzaju wprowadzają widzów starych i młodych, dużych i małych w zachwyt prawdziwy. Mają przed sobą rozpostarty obraz Paryża choć w zmniejszeniu ale ze wszystkiemi szczegółami stanowiącemi piętno stolicy: bulwary, ulice, drzewa, kioski i t. d. i t. d. wyrobione są z drzewa, metalu i kamienia z największą dokładnością. Dzieci patrząc na zbudowane miasto, biorą je za zabawkę nowego rodzaju dla nich przeznaczoną.

Pawilon miasta Paryża rozdzielonym jest na wiele części odrębnych, jak naprzykład sztuki piękne, drogi publiczne, kanały i ścieki, służba budownicza, nauczanie elementarne, zakłady dobroczynne, cmentarze a nareszcie domy obłąkanych. Niepodobna pisać o wszystkich tych działach ale opiszemy niektóre szczegóły, mogące znaleźć zastosowanie w naszym kraju. Wedle powziętych przez nas wiadomości, ma być zawiązanem w Warszawie stowarzyszenie zamiatania ulic i wywożenia śmieci, czyli jednem słowem utrzymanie w należytej czystości głównego miasta polskiego.

Pomysł nader chwalebny, oby był wykonanym jak najśpieszniej. Na tem polu jednak Warszawa nie potrzebuje nic tworzyć a jedynie tylko wstępować umiejętnie w ślady innych stolic europejskich, które nastręczone w tej mierze trudności rozstrzygnęły zwycięzko w sposób praktyczny. Nie będzie zatem bez korzyści skoro opiszemy sposoby posługujące do nadania Paryżowi owej błyszczącej czystości, nadającej miastu całemu wdzięk nieokreślony.

W tej mierze pawilon miasta ułatwia nam nadzwyczajnie pracę, jako obejmujący wiele szczegółów i danych statystycznych, dotyczących wzmiankowanego przedmiotu.

Do roku 1874 obowiązek zamiatania ulic spadał na właścicieli domów; w roku jednak wzmiankowanym ciężar ten zamienionym został na opłatę pieniężną i czynność cała oddaną była pod nadzór inżynierów miasta. Zamiatanie ogólne ulic odbywa się w lecie od trzeciej do szóstej z rana a w zimie od czwartej do siódmej.

Oprócz tego ma miejsce zamiatanie dodatkowe w ciągu dnia na przestrzeni obejmującej 14,500,000 metrów kwadratowych. W tym celu inżynierowie mają pod swojemi rozkazami służbę składającą się z 3,000 głów, w której to liczbie jest 2,200 mężczyzn zarabiających od półtrzecia do czterech franków dziennie; 750 kobiet płacone są od czterech do pięciu centymów za godzinę a chłopcy biorą cztery centymy za godzinę. Oprócz tego są czynne miotły mechaniczne, z których każda zastępuje pracę dziesięciu ludzi; w ogóle zatem praca zamiatania Paryża wyobraża 4,900 robotników. Miotły mechaniczne nadzwyczajnie użyteczne, oczyszczają 5,500 metrów kwadratowych na godzinę. Urządzane są w części wedle systemu Sohy w części wedle Blot'a, kosztuje każda tysiąc franków, waży 750 kilogramów, jeden zatem koń wystarcza do jej ciągnienia. W ogóle zamiatanie Paryża kosztuje około trzech milionów franków. Wywożenie śmieci zajmuje pięćset ludzi, pięćset wozów i dziewięćset koni. Ponieważ za granicą wszystko jest obliczonem, wyrachowano więc że śmiecie paryzkie wynoszą dziennie tysiąc siedmset metrów kubicznych. Dawniej wyrzucane były na ulicę obecnie wynoszone są w chwili przejazdu wozów na ten cel przeznaczonych. Z tej to przyczyny historyczni

gałganiarze z koszem na plecach i latarką błądzący jak duchy wśród ciemności nocnych znikli; obecnie rano sami wchodzą do mieszkań zabierając oczekujący na nich towar. W Paryżu jest siedm tysięcy gałganiarzy patentowanych a w ogóle stan ten obejmuje piętnaście tysięcy osób licząc kobiety i dzieci.

Średni zarobek na głowę wynosi franka pięćdziesiąt centymów. Mężczyźni zarabiają około dwóch, trzech, czterech a nawet więcej franków, kobiety i dzieci mniej. Ogólna cyfra zarobku gałganiarskiego wynosi franków siedm do ośmiu milionów rocznie.

Do entreprenera przyjmującego na siebie obowiązek zamiatania ulic, należy także wywożenie śniegu w zimie a polewanie w lecie. Miotły mechaniczne spychają śnieg do kanałów, i tym sposobem w prędkim czasie miasto zostaje z niego zupełnie oczyszczonem. Polewanie jest dwojakiego rodzaju: za pośrednictwem beczek i za pośrednictwem kiszek. Od kilku lat są w użyciu beczki równoległoboczne systemu Sohy, które woźnica otwiera przez pociągnięcie w górę listewki stawowatej co sprowadza sztuczny deszcz nadzwyczajnie rzęsisty. Beczka wieziona na wozie obejmuje około tysiąc trzysta litrów wody i w chwili przejazdu polewa szerokość wynoszącą cztery metry pięćdziesiąt centymetrów, wystarczając na długość od pięćset do sześćset metrów, co odpowiada powierzchni wynoszącej dwa tysiące pięćset metrów. W Paryżu jednak coraz więcej są w użyciu kiszki, które pod ciśnieniem z łatwością mogą polać przestrzeń wynoszącą dwadzieścia tysięcy metrów. Rzut wody dochodzi na odległośc dwunastu metrów i polewanie kosztuje o połowę mniej aniżeli za pośrednictwem beczek. Zajmowano się czas jakiś bardzo pomysłem rozsiewania soli topniejących po ulicach, mających niweczyć kurzawę i zastępować polewanie z wielu względów nieprzyjemne dla przechodniów. W roku 1859 i 1862 zrobiono próby w lasku bulońskim posypując aleje chlorkiem wapna.

Środek ten jednak jako za kosztowny okazał się niepraktycznym. Na powierzchni wynoszącej dziesięć tysięcy metrów potrzeba użyć soli pięć tysięcy kilogramów, z koniecznością odnawiania takowej co trzy dni. Wydatek z tego względu wraz z opłatą robotników wyniósł dziennie 112 franków, a polewanie za pośrednictwem beczek kosztuje zaledwo trzydzieści sześć franków. Kwestya zatem taniości przeważyła za utrzymaniem dawnego systemu, zwłaszcza że i tak budżet miasta, obejmuje poważną cyfrę czterysta pięćdziesiąt tysięcy franków, jako wydatek łożony na polewanie ulic. Dla niszczenia wyziewów nieprzyjemnych używanym jest chlor wapna, sulfat cynku, sulfat żelaza i kwas senigne; ciała rozpuszczane w wodzie a niweczące wszelkie ciałka organiczne.

Z takiej to przyczyny powietrze na bulwarach swoją świeżością wprowadza w podziw wszystkich cudzoziemców.

W ogóle oczyszczanie Paryża kosztuje rocznie pięć milionów franków.

W tej samej części pawilonu można dostrzedz w miniaturze lasek buloński, główniejsze oranżerye, szkółkę drzew w Anteuil a nareszcie rozmaite miejsca służące do przechadzki. Nie można również pominąć dwóch zamiarów oddawna opracowanych na papierze ale nie wchodzących w wykonanie: mianowicie cmentarzy urządzonych na prowincyi dla Paryża i kolei żelaznej podziemnej mającej połączyć zewnętrzne części miasta z jego środkiem. Szczegóły te jednak jako ściśle miejscowe nie mogą znaleźć zastosowania w naszym kraju.

Inna rzecz zupełnie co do kanałów i rozdziału wody na miasto, bo te dwa dzieła należą niezaprzeczenie w Paryżu do najciekawszych przedmiotów. Wszystkie najdrobniejsze nawet szczegóły w tej mierze przedstawione są na wystawie.

Niepodobna utrzymać w mieście należytej czystości bez obfitego przepływu wody przez ulice. Jaszcze w roku 1860 nie licząc wody przeznaczonej na użytek publiczny, każdy mieszkaniec Paryża miał na swoje potrzeby zaledwo trzydzieści pięć litrów wody brudnej i nieczystej, bo sprowadzanej z Sekwany. Po wielu badaniach postanowiono nareszcie sprowadzić wodę ze źródeł leżących w znacznej odległości po za Paryżem. Zamiar ten wykonanym został w okresie piętnastoletnim pomiędzy rokiem 1861 a 1876; dzisiaj wypada na głowę dwieście dwadzieścia siedm litrów wody czystej i dobrej.

Woda z Sekwany służy do polewania, prania i t. p. czynności, doskonała zaś woda źródlana służąca do picia, sprowadzana jest codziennie w ogromnej ilości 400,000 metrów kubicznych.

W tym celu urządzone są dwa wodociągi z których jeden ma ogólnej długości dwadzieścia kilka a drugi trzydzieści kilka mil polskich. Biorą one wodę ze źródeł na wysokości stu kilkunastu metrów po nad powierzchnią morza, i prowadzą takową do wielkich wydrążeń (reservoir).

Wodociąg szczególniej Montsouris jest dziełem prawdziwie zdumiewającem, bo przeprowadzonym został przez piaski, lasy, rzeki kanały zanim doszedł do miejsca przeznaczenia; w tym celu potrzeba było budować most wiorstę długi a mający 77 arkad. Pomimo takich prac Francuzi naganieni zostali przez angielskiego mówcę za okazane niedbalstwo na polu hygienicznem; cóżby powiedział Szanowny pan Smith gdyby zwiedził inne wielkie miasta położone więcej ku wschodowi i północy.

Nie możemy zamknąć tej części naszego sprawozdania nie wspomniawszy o przyrządach dotyczących ratowania utopionych. Ciekawym jest nadzwyczaj ogrzewacz miedziany na którym składane są ciała wydobyte z wody. W ciągu sześciu minut woda zimna podniesioną jest do temperatury 35-ciu stopni ciepła a w ciągu dziesięciu minut przechodzi w stan wrzący. Jeżeli zwykłe ogrzanie ciała jest niewystarczającem, to ciało zmarłego przenoszone jest do wanny w której używane jest uderzanie wodą naprzemian gorącą i zimną. Służba wyłączna urządzona dla ratowania osób uległych nadzwyczajnym wypadkom, okazała się bardzo użyteczna, ocaliła bowiem życie jedenastu tysiącom osób licząc od roku 1865. Aż do roku 1875 stosunek uratowanych topielców był niewielki, bo wynosił mniej więcej 50%; od tej jednak epoki użycie bardzo energicznych środków zmieniło zupełnie stosunek. W ostatnich latach na stu utopionych czterech jedynie utraciło życie, pomimo udzielonych im wszelkich możliwych środków ratunku. Z tych jeden zostawał pod wodą trzydzieści pięć minut, drugi pół godziny, trzeci dwadzieścia minut, a ostatni tylko siedm minut. Środki ratowania utopionych podane są w streszczeniu w pawilonie, a o ich skuteczności nie wątpi służba obowiązana do niesienia ratunku. Szczególniej strażnik Lamblot, z którym mieliśmy sposobność rozmawiania, prawdopodobnie niezadługo nabierze tej wiary że utopienie się jest niepodobnem.

— Nie trzeba nigdy tracić cierpliwości, mówi on z przekonaniem, bo tu chodzi o życie człowieka którego możemy ocalić naszą gorliwością a zabić naszem niedbalstwem. Po półgodzinnej pracy bezskutecznej nie rozpaczam jeszcze, bo widziałem topielców wracających do przytomności po całej godzinie różnorodnych usiłowań. Raz nawet udało mi się przywrócić do życia człowieka, który zostawał pod wodą czterdzieści pięć minut.

Słowa strażnika zasłużyły na powtórzenie, bo podnosi on widocznie sprawowany przez siebie urząd do godności kapłańskiej.

(d. c. n)

Rozwiązanie Szarady zamieszczonej w N. 41.
Ja-go-dy.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pan. Maryi Reginie. W wierszykach nadesłanych wiele jest czucia i poczciwych myśli chlubę przynoszących Autorce, ale nie wszystkie są w nich zachowane niezbędne warunki tak pod względem teoryi jak i zasad przez Redakcyą przyjętych. Forma rymowa niełatwa do pokonania, i gdy się trudność w niej znajdzie, często dla rymu myśl się poświęca albo ją nakręca, co niezmiernie całości szkodzi.

Panu Henrykowi K. w Kijowie. W wierszach p. t. Piosnka słowika i Jeszcze piosnka, realność zbyt rażąca góruje po nad wszystkiem i jakimś dziwnym wstrętem czytającego przejmuje.

Dotąd w poezyi zwykle ideał górował: piękno i dobro podnoszone w niej było do najwynioślejszego szczytu prawie nieziemskiego, aby blaskiem jak największej przestrzeni przyświecały i zwracały ku sobie wszystkich oczy. Dziś ideał i poezya wyszydzone, sponiewierane, nawet w publicznych prelekcyach zupełnie unicestwione, nie zakwitną pod tchnieniem czystego materyalizmu Nie można być orłem i nędzną liszką zarazem; kto duma patrząc w ziemię niech przemawia prozą: słowo natchnienia z piersi może wydobyć tylko ten, co już duchem buja w wyżynach i uczuwa przedsmak wieczności o jakiej materyalizm nawet nie marzy.

Nowe wydawnictwa.

Osa, kalendarz humorystyczno-informacyjny, illustrowany, na rok przyszły 1879, wyszedł z druku nakładem drukarni i litografii Czesława Przybylskiego i nabyty być może we wszystkich księgarniach miejscowych. Po części literackiej dość urozmaiconej, mieści się dział informacyjny starannie opracowany. Cena egzemplarza kop. 50.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 30 Сентября 1878 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Opis do N. 42.

(*Dokończenie*).

N. 6. Przykrycie na komodę, toaletę, albo umywalnię.

Tło środkowe może być z płótna białego, albo kolorowego, z *buretu*, lub innego materyału; szlaki, robione na kanwie jawa, oddzielone są od tła paskami kolorowemi z materyału do prania, naszytemi w sposób wskazany na ryc. 6; frendzla 11 cent. szeroka, jest siepana i wiązana.

N. 7—10. Serwetka na maleńki stoliczek, albo na środek nakrytego stołu.

W miejsce kolorowego ręcznego, albo fabrycznie tkanego haftu na środku obrusów, lub serwet do nakrycia stołu, kłaść można na środku serwetkę suto wyszyte ściegiem krzyżowym dwoma kolorami lub dwoma cieniami, w sposób, wskazany na ryc. 7. Model był z gładkiego nicianego adamaszku, a kwadrat środkowy i szlaki tkane były sposobem płótna kanwowego, dla ułatwienia wyszycia; małych i wielkich serwet tego rodzaju dostać można w fabrykach zagranicznych. Na ryc. 8 podajemy deseń na kwadrat środkowy, a na 9 i 10 szlaki do małej serwetki.

N. 11. Przykrycie na umywalnią, robione na płótnie rzadkiem i nie zbyt cienkiem, umyślnie na ten cel wyrabianem.

W blacie umywalni przy tylnej listwie powinny być wbite małe gwoździki z łepkami mosiężnemi, albo lakierowanemi, do których serweta przypina się na pętelki, ażeby nie mogła się zsunąć wraz z zastawą.

N. 15. Koszula nocna z podłużnym wykrojem.

Krój podług ryc. 45 w N. 14.

Krając koszulę podług powyższej formy, z powodu zmienionego mankieta trzeba wkroić trochę dłuższe rękawy i zmienić wykrój na podłużny. Przód zdobią drobne i szersze stębnowane zakładki i wstawki haftowane.

N. 6. Pilśniowa amerykańska spódniczka, ozdobiona wyszyciem krzyżowem.

Takie spódniczki dla swej miękkości, lekkości, ciepła i dobrego przylegania do figury, są praktyczniejsze od morowych lub wszelkich pikowanych. Noszone są pod suknią bez innej zwierzchniej spódniczki, dostać ich można tkanych fabrycznie bez szwu, albo krajanych ze sztuki, jak model, który składał się z bryta przedniego, 100 cent. długiego, u dołu 112 w górze 52 cent. szerokiego i z dwóch wszystkich brytów tylnych, mających w górze 24, u dołu 56 cent., które zeszywały się ze sobą brzegami, skośno ściętemi. W górze wszywa się spódniczkę, przymarszczoną w pasek 4 c. szeroki, w którym z tyłu nawłóczy się tasiemki do wiązania, u dołu obejmuje ją się wązką pliską aksamitną. Pilśń na spódniczki wyrabiana bywa w różnych kolorach; model koloru jasno popielatego, oszyty był takąż plisą, 10 cent. szeroką, wyciętą w ząbki, okrągłe, pod której brzegi wstębnowane były ciemniejsze pliski, 5 cent. szerokie, ozdobione gałązkami 10 do 15 ściegów wysokiemi, wyszytemi krzyżykami, jedwabiem jasno popielatym.

N. 17—19. Pończochy jedwabne.

Zbytek w pończochach coraz większe przybiera rozmiary, moda nietylko, wymagaa żeby były jedwabne, odpowiedniego sukni koloru, ale chce, ażeby były ozdobione haftem płaskim, lub krzyżykowym. Na ryc. 17—19 widzimy w górze pończochę ciemno bronzową, ozdobioną haftem krzyżykowym odmiennego koloru, którego wązkie szlaczki przy klinikach zakończone są w górze bukiecikami. Trzecia biała jedwabna pończocha, ozdobiona była haftem w trzech matowych cieniach.

N. 20—21. Dwa fartuszki z czarnego jedwabnego repsu.

Obadwa kliniasto przykrojone fartuszki mają 66 cent. długości, 72 dolnej, a 28 górnej szerokości. Ryc. 20 przedstawia zaokrąglony fartuszek, oszyty 8 cent. szeroką, w ząbki wyciętą i czarnym jedwabiem haftowaną falbanką, w połowie za brzeg fartuszka wystającą, nad którą naszyte są trzy, trochę wysiepane, drobno plisowane, trzy cent. szerokie falbanki i piękna, 6 cent. szeroka, pasmanterya z jedwabiu i krepowanej wstążeczki. Dziewięć cent. wysoka, a 11 szeroka kieszonka, układa się z plisowania i pasmanteryi na sztywnym muślinie.

Na ryc. 21 podajemy fartuszek, ozdobiony bogatą, 12 cent. szeroką, wiązaną frendzlą i aksamitką czarną, 4 cent. szeroką, wyszytą ściegiem krzyżykowym, filozelą słomkowego koloru, a w górze zakończoną wązkiem plisowaniem. Do zapinania fartuszków służą guziki dżetowe i długie pętlice z jedwabnego sznura.

N. 22—23. Dwie serwety fartuszkowe dziecinne.

Ryc. 22 przedstawia serwetkę z piki, płótna, albo ręcznikowego materyału, ozdobioną haftem krzyżykowym, do którego deseń łatwo dobrać można w poprzedzających NN. Tygodnika z b. r. Na ryc. 23 podajemy fartuszek, ozdobiony haftem szydełkowym w tamborku, do którego desenie podaliśmy w r. 1877. Górny prostokątny, albo okrągły wykrój serwetek podszywa się tasiemką, której końce służą do wiązania.

N 27. Przyrząd do wycierania piór, ozdobiony haftem krzyżykowym.

Podstawę przyrządu urządza się z kawałka tektury, 6 cent. wysokiego, u dołu 20, w górze 13 cent. szerokiego, w kółko sklejonego, a z wierzchu zalepionego denkiem okrągłem, mającem $4\frac{1}{2}$ cent. średnicy. Zewnątrz foremkę wykleja się gładką materyą, z wierzchu pokrywa marszczonym blado niebieskim atłasem; zakończonym u dołu podwójną falbanką. W górze na atlas daje się lambrekinę z białego sukna, haftowaną jedwabiem kolorowym, złożoną z pięciu spiczastych zębów, podklejonych cienką tekturą, mających 4 cent. długości, a $2\frac{1}{2}$ górnej szerokości, u dołu zakończonych cekinami z konchy perłowej. Brzegi atłasu i lambrekiny podchodzą pod zwierzchnie denko tekturowe, mające także $4\frac{1}{2}$ cent. średnicy, pokryte atłasem niebieskim. W to denko wprawiona jest rękojeść metalowa, których w rozmaitych kształtach i guście dostać można gotowych. Na modelu piękna rękojeść bronzowa, w górze zakończona była okrągłą tafelką szkła, pod którą można było wkładać małą fotografię. Do wycierania piór służy 8 w ząbki wyciętych okrągłych kawałków czarnego sukna, mających 11 cent. średnicy, które na pół złożone i razem zfałdowane, zapełniają środek tekturowej foremki.

N. 28. Portmonetka z monogramem.

Mała okrągła portmonetka ozdobiona jest monogramem, haftowanym złotem, srebrem, lub jedwabiami na czarnej juchtowej skórze. Oprawa i zameczek portmonetki powinny być z metalu, odpowiedniego haftowi monogramu, a obrączka, dodana przy zameczku, służy do noszenia portmonetki na palcu.

N. 29—30. Dwa szlaczki, robione na płótnie do kołnierzyków, mankietów, albo chustek od nosa.

Obadwa szlaczki robić można bawełną białą lub kolorową na cienkiem płótnie. Ryc. 29 przedstawia haft biały, lub kolorowy płaski, pomiędzy dwoma rzędami kratki ażurowej; na rycinie 30 szlaczek między kratkami wyszyty jest ściegiem pośpiesznym, luźnym.

N. 31—32. Ubranie ranne formą princesse.

Krój podług ryc. 11—12 w N. 19.

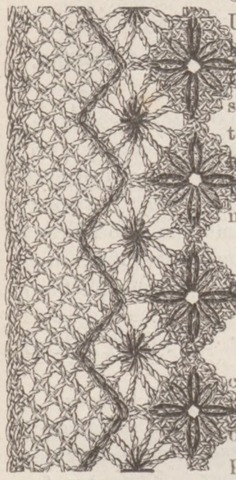
Ryc. 31 przedstawia z przodu ubranie z gładkiej flanelki jasno piaskowego koloru, suto garnirowane koronką niciang, które zrobić można na podszewce, albo bez; za-



N. 1—2. Ubrania spacerowe.

N. 1. Suknia princesse z upięciem, naśladującem vêtement. N. 2. Ubranie z vêtement formą princesse.

pięcie z przodu przykrywa wachlarzowo naszyta koronka. Kokardy ze wstążki odmiennego, albo tego co suk ia koloru. Na ryc. 32 podajemy z tyłu suknię z wełnianego materyału w paski jasno i ciemno popielate. Ubranie rękawów, kołnierz marynarski i plisowany pasek są z gładkiego materyału. Maszynowy haft na kołnierzu robiony jedwabiem ciemniejszym.



N. 3. Koronka niciana z kolorowem wywodzeniem, mogąca służyć do przykrycia ryc. 5.

N. 33. Koszyczek do kluczy.

Haft krzyżykowy.

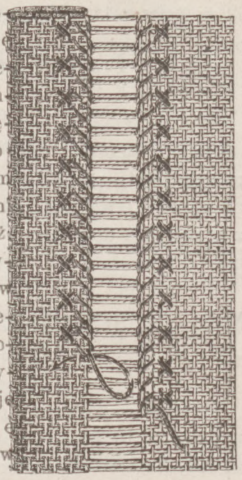
Koszyczek ze złoconego bronzu wykłada się wewnątrz do formy jego dopasowaną, cienką i sztywną tekturą z obydwóch stron pokrytą niebieskim atłasem. Wewnątrz na zeszyciu denka ze ścianką boczną dana jest riusza ze wstążki, 2 cent. szerokiej. Z wierzchu zdobią koszyczek, niebieskim jedwabiem haftowane, 2 $1/2$ cent. szerokie paski białego sukna w ząbki wycięte i skośnie w równych odstępach przyczepione. Kokardy ze wstążki w atłasie, 2 cent. szerokiej.

N. 34. Kapelusz pluszowy.

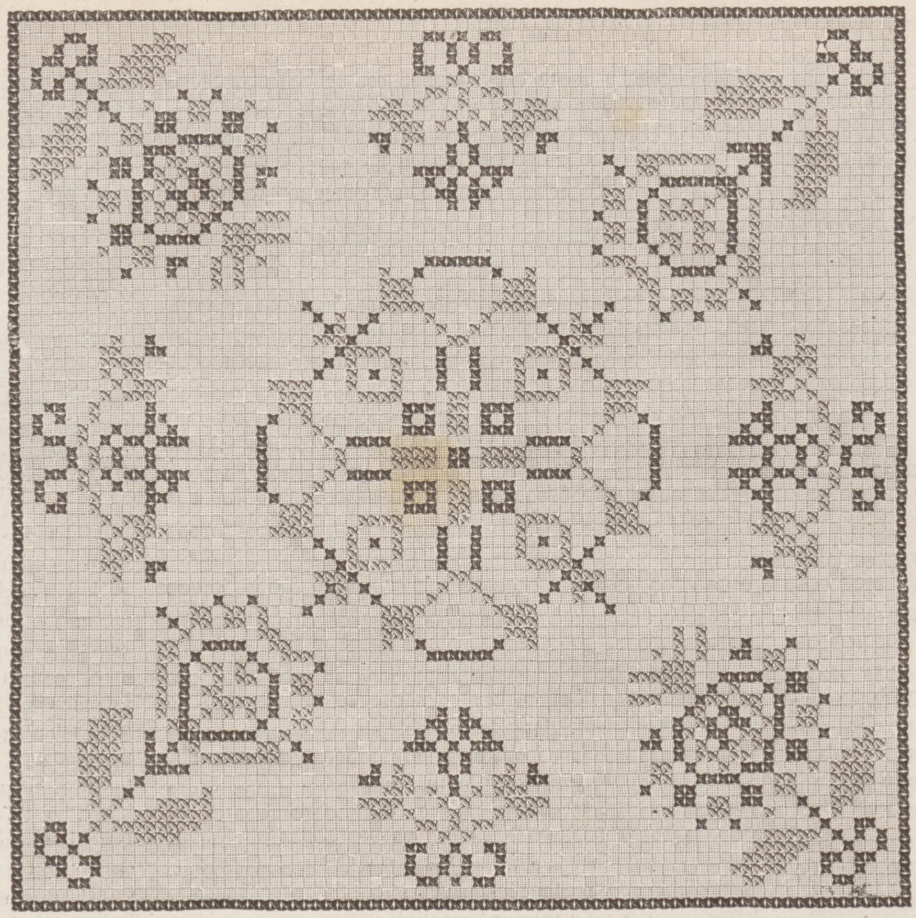
Kapelusz pluszowy koloru czerwonawo bronzowego (kolor Van Dyck) odznacza się niezwykłym rodzajem rondka, niby podwójnego, które trochę wypukło w górę podniesione i do główki przystające na kilka cent. od środka z tyłu, jest z prawego boku przecięte, troszkę przyfałdowane i jedno na drugie założone. Odstające podpięcie z aksamitu takiego, jak kapelusz koloru, ozdobione agrafą stalową, przypięte jest z prawego boku w ten sposób, iż stanowi niby drugie rondko. Suta aksamitna kokarda, przypięta nad czołem drugą agrafą i pęk piór mienionych w kolorze od szafirowego do najjaśniejszego bordo stanowią ubranie kapelusza.

N. 35. Kapelusz z główką z materyi jedwabnej.

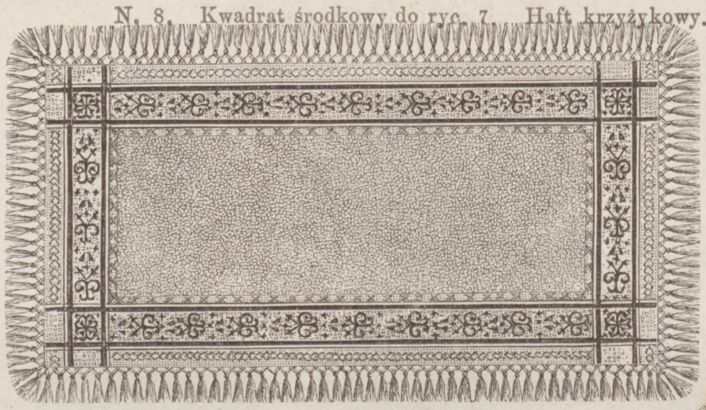
Rondko marszczone, 7 cent. wysokie, stanowiące zarazem przednie ubranie kapelusza, zrobione jest z szafirowego aksamitu; nizką główkę z jedwabnego repsu tego samego koloru, zdobią dwa, na krzyż przełożone skosy materyi, ułożone w podłużne fałdy, a z tyłu przepięte klamrą. Końce skosów podwinięte są pod spód ronda i przepięte razem z 4 $1/2$ szerokiemi atłasowemi wstążkami do wiązania. Skrzydełko mienione w kolorach niebiesko zielonych, z przodu do boku przypięte, przytrzymuje długie fryzowane pióro, mienione w kolorach bronzowych do popielatych które przechodzi przez główkę do tyłu.



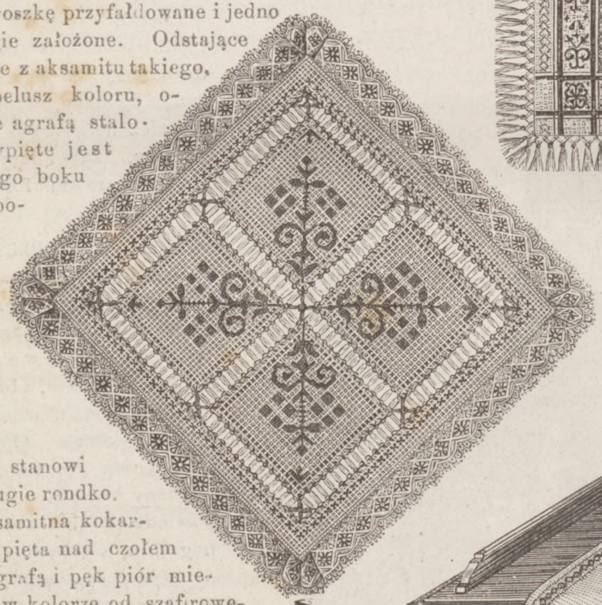
N. 4. Robota kratki na płótnie kanwowem do ryc. 5.



N. 8. Kwadrat środkowy do ryc. 7. Haft krzyżykowy.



N. 6. Przykrycie na komodę, toaletę albo umywalnię. Haft krzyżykowy.



N. 5. Przykrycie na koszyczek albo szkatułkę, wyszycie krzyżowe i kratki na płótnie kanwowem. Zobaczyć próbki N. 3—4.



N. 7. Przykrycie na stoliczek albo na środek nakrytego stołu. Zobaczyć kwadrat N. 8 i szlaki N. 9 i 10.



N· 11. Przykrycie na umywalnię. Haft krzyżykowy. Przejrzyć desenie, podane w ciągu roku.

Opis do Nr. 43

N. 1—2. Pasek z łańcuszkiem do wachlarza.

Do bluzek i długich wcinanych paltocików modne są paski z tego co suknia materyału a bardziej jeszcze czarne; lub bronzowe skórzane z klamerkami matowemi lub świecącemi i z łańcuszkami do zawieszenia wachlarza. Model, przedstawiony na ryc. 1—2, jest ze skórki zielonawoczarnej, 4 cent. szeroki z ciemną oksydowaną klamerką i z krótkim łańcuszkiem, na którym wisi gładki czarny drewniany wachlarz.

N. 3. Kołnierzyk wykładany i krawatka.

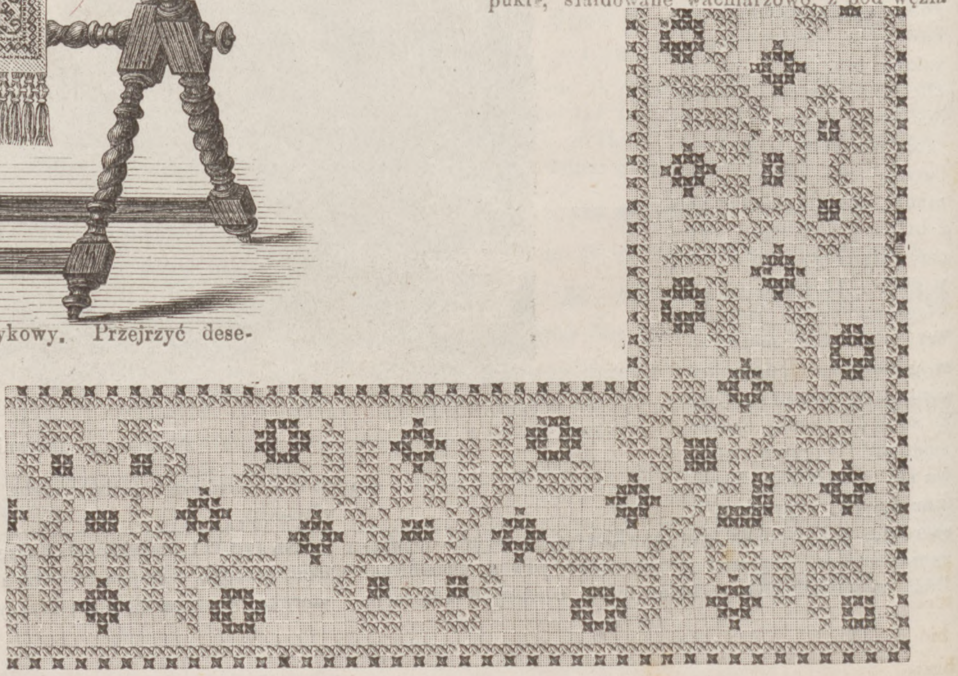
Szeroko wyłożony kołnierzyk płócienny, dwa razy przestębnowany z brzegów, związany jest krawatką z wstążki atłasowej, 11 cent. szerokiej, z pasem ażurowym, idącym przez środek, z boku zaś pas wyszycia krzyżykowego jedwabiem, albo złotą nitką.

N. 4. Krawatka tiulowa z gałązką świeżych kwiatów.

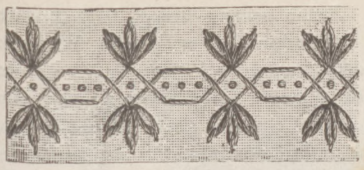
Potrzeba na nią kawałka, 1 metr długiego, przeszło łokieć szerokiego, który związuje się w podwójną kokardę z końcami, lub w cztery pukle, sfałdowane wachlarzowo, z pod węzła



N. 9. Szlak do haftu krzyżykowego do ryc. 7.



N. 10. Szlak do haftu krzyżykowego do ryc. 7.

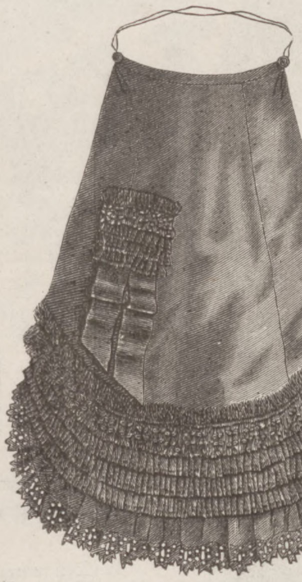


N. 12. Szlaczek do wyszycia ściegiem pośpiesznym do ryc. 23 w N-rze 43.

wysunięta jest gałązka świeżych kwiatów. Takie krawatki odpowiednie są tylko dla młodych panien.

N. 5. Paletocik wcinany z wykładanym kołnierzem. i kamizelką (veste Charlotte Corday).

Rycina 5 przedstawia długi paletocik, mocno wcięty do figury z cienkiego sukna koloru piaskowego (couleur de cocher) dobrze odbijającego przy ciemnej sukni. Plecy złożone są z czterech części, przody z szerokim wykładanym kołnierzem i klapkami, poniżej do wcięcia stanu zapięte na guziki, dalej zaś rozchodzące się szeroko i dopełnione krótszemi kamizelkowemi częściami, w których przecięte są małe kieszonki z przystębuowanemi listewkami. Brzegi objęte wypustką na grubym sznureczku; guziczki okrągłe złote.



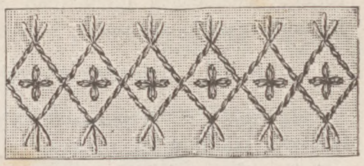
N. 20. Fartuszek z wolantem



N. 15. Koszula nocna z podłużnym wykrojem. Krój podług ryc. 45 w N. 15 Tygodnika Mód.



N. 16. Spódniczka pilśniowa, ozdobiona haftem krzyżyk.



N. 13. Szlaczek do ryc. 23 w N. 43.

do lewej przeciąga się pentelkę przez nitkę, prostopadle odznaczającą się z lewej strony) włóczką ponsową, rząd trzeci (od ręki prawej do lewej) zaś robi się włóczką czarną dla lepszego odznaczania się krzyżyków. Krzyżowanie tworzy się, gdy przy nabieraniu oczek najpierw przeciągnie się pentelkę przez dalsze, a potem przez bliższe o., podług ryc. 24; szlak stanowią dane naprzemian dwa rzędy ściegu wypukłego, a jeden krzyżyków. Powyżej szlaku aż do paska spódniczka robiona zwykłym ściegiem tunetańskim, gubiąc oczka w odpowiednich miejscach dla kliniastego zwężenia ku górze. Z tyłu brzegi podłużne zszywają się z sobą, zostawiając tylko rozporek.



N. 21. Fartuszek z frendzlą.

N. 14. Kaftaniczek dla dziecka. Robota w ramach.

Na ryc. 25 w N-rze 42 daliśmy wzór roboty tła w ramach; próbka ta naturalnej wielkości dostatecznie objaśni czytelniczki, zajmujące się robotą w ramach. Brzegi kaftanika zdobi frendzla z kulek,

N. 7. Chusteczka wełniana.

Fabrycznie tkana wełniana chusteczka, 170 cent. długa, a 70 szeroka, z trzech stron oszyta szeroką frendzlą z kulek, z czwartej tylko wązkim szlaczkiem, stanowi dla młodych osób zręczne okrycie do teatru, na koncert, lub t. p.



N. 22. Serweta, czyli fartuszek dziecinny, ozdobiony haftem krzyżykowym.

N. 10. Brzeżek i frendzla do serwetek z kanwy Jawa.

Na rycinie 10 wskazujemy wyszycie brzeżka, nakształt plecionego warkocza, zajmującego dwie nitki wszerz; pod nim oddzielną podwójną nitką przyrobiona jest frendzla, wiązana na linijce tekturowej w sposób, wskazany na próbce ryc. 10. Szlaczek wyszywa się w ten sposób, iż u góry zajmuje się za trzy nitki, a u dołu za dwie nitki, krzyżując ściegi z sobą. Brzeg kanwy, pozostający pod frendzlą, podwrębia się na lewą stronę.



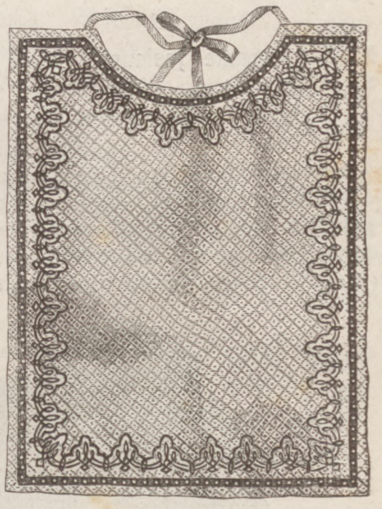
N. 19 do 16. Pończochy jedwabne.

N. 13. Spódniczka szydełkowa dla dziewczynki.

Odpowiednia dla dziewczynki lat 2 do 4, odrobiona jest ściegiem tunetańskim z włóczki ponsowej. Zaczyna się od dołu na 124 o: szlakiem, podanym na ryc. 24 w N. 42; dwa rzędy robić ściegiem wypukłym (na który wrzędzie od ręki prawej



N. 14. Bukiecik środkowy do ryc. 23 w N. 43.



N. 23. Fartuszek dziecinny, ozdobiony haftem tamborkowym.

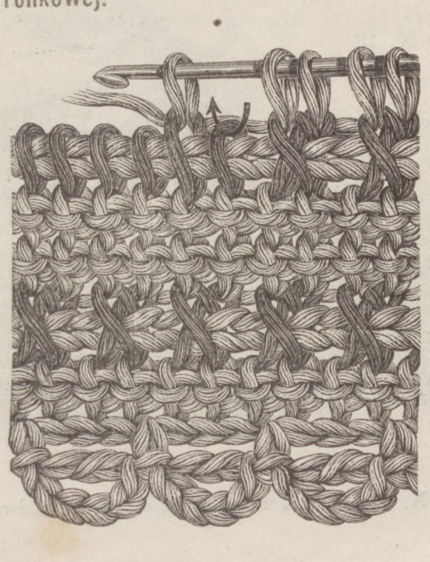
N. 15. Kasetka z poduszeczką do szpilek podwójnych.

Podstawę stanowi kwadratowe pudełko z grubej tektury, z przykrywką, dającą się zdejmować, opatrzoną zwierzchu poduszeczką, wysłaną włosiem, i pokrytą barankiem, robionym na drutach. Dolna połowa kasetki jest powleczona bufowanym niebieskim atłasem, przykrywka zaś ma boki gładko pokryte atłasem i przysłonięte zębami z popielatego sukna, wyszytemi jedwabiem niebieskim. Przyszycie barankowego pokrycia na poduszeczce, zasłania szlak z sukna na

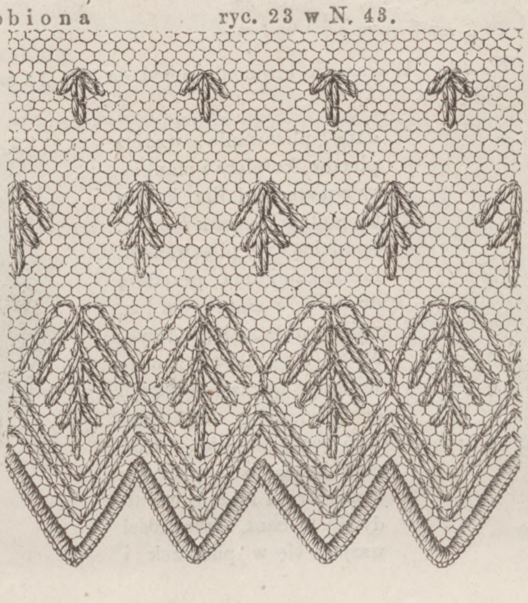
N. 11—12. Kołnierzyk, wykładany z tasiemeczki koronkowej.

Rycina 12 przedstawia w maleńkim formacie kołnierzyk robotą koronkową z tasiemeczki; układ deseniu widoczny jest na ryc. 11, podług której można odrobić pajączki, brzegi koł-

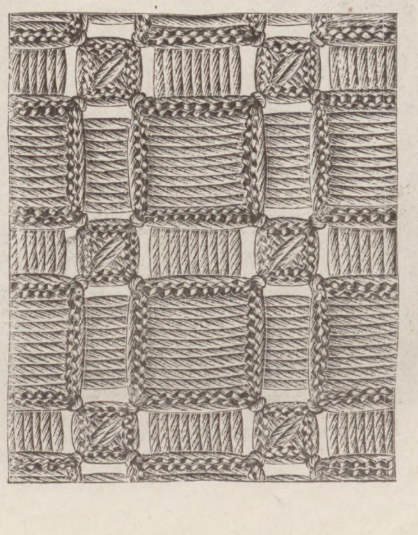
nierzyka oszyte fabrycznemi pikotami.



N. 24. Szlak szydełkowy do spódniczki ryc. 13 w N. 43.



N. 26. Koronka wywodzona na tiulu.



N. 25. Próbka roboty wiązanej w ramie, do ryc. 14 w N. 43.

rogach zachodzący głębokiemi zębami na poduszeczkę. Riusza z wstążki atłasowej, 2 cent. szerokiej.

N. 16. Szlaczek wyszyty krzyżykami.

Odpowiedni do przyozdobienia sukienek dla dzieci, fartuszków, szalików i t. p., wyszyty jest na aksamitce, wstążce atłasowej, lub repsowej, jedwabiami kolorowemi i nitką złotą.

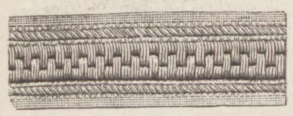
N. 17. Suknia z vêtement princesse.

Krój vêtement podług r. 11—12 w N. 19.

Przody vêtement przykrajanego podług powyżej wskazanej formy w jednym ciągu



N. 27. Przyrząd do wycierania piór, ozdobiony haftem krzyżykowym.



N. 29. Szlaczek ściegiem tkackim z kratką ażurową do kołnierzyków, chusteczek od nosa i t. p.

z bokami zebrane są w fałdy, jednakowe z obydwóch stron i złączone z tylnym brytem również sfałdowanym z brzegów, a w środku lekko podpiętym. Efektowne przybranie stanowi koronka irlandzka z dość szerokiej tasiemeczki przyszyta na ciemnej plisie jedwabnej, lub wełnianej. Dół sukni z popielatego bożu zdobią dwie plisowane falbanki, po 6 cent szerokie, i szeroka jedwabna plisa. Kreza i mankiety z crêpe—lisse, przewiązane atłasową wstążką.

N. 18. Ubranie jesienne.

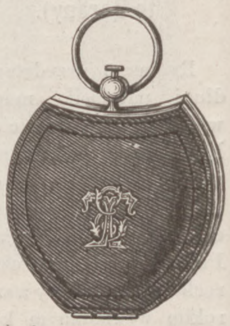
Patrz ryc. 35 w N-rze 42. Krój stanika patrz ryc. 27—28 w N-rze 23.

Przedstawiona na ryc. 18 suknia z bardzo długim stanikiem i spódnicą, ubraną nakształt tiuniki, jest z niezmiernie modnego wełnianego materyału w kratę (*plaid foulé ecossais*). Stanik ma dodane plisowanie wzdłuż pleców, kołnierz i mankiety z materyi faille koloru tła pod kratą szkocką. Spódnica z plisowanemi falbankami ma przednią draperyę z materyału, wziętego skośnie, na ryc. N. 36 w N-rze 42 zamieściliśmy wskazanie kroju draperyi, tylny bryt liczy 115 cent. długości, a 57 cent szerokości; górny brzeg bryta złożony w fałdy do 9 cent. szerokości wszywa się w paseczek i przyczepia do sukni. Jeden boczny brzeg bryta oszyty frendzlą podług ryc. 35 podpina się w pukiel 21 cent. długi na 18 cent. odstępu od góry i przyczepia na sukni wzdłuż szwu bryta tylnego; drugi brzeg w całej długości oszyty frendzlą, na 36 cent. od góry odwinięty jest do tyłu i przypięty kokardą z wstążki atłasowej, niżej zaś o 52 cent. odłożony na prawą stronę i przyczepiony na sukni podług ryc. 18. Ten rodzaj upięcia nadaje się tylko do materyałów jednakowych na obie strony. Dolny brzeg stanika i mankietów przestębnowany jest kilka razy.

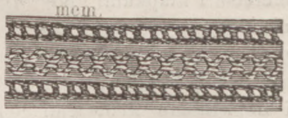


N. 31—32 Ubranie ranne formą princesse. Krój podług ryc. 11—12 w N. 18 Tyg.

N. 19—20 ryc. 6. Chustka trójkątna, robiona na drutach.



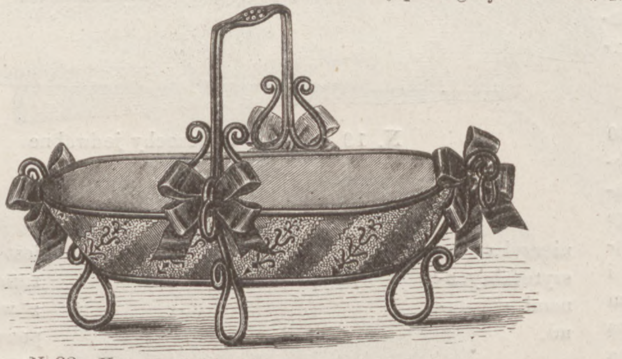
N. 28. Portmonetka z haftowanym monogramem.



N. 30. Szlaczek ściegiem luźnym z kratką ażurową, do kołnierzyków i t. p.

Wykończona z cienkiej, mięciutkiej włóczki, w dwóch cieniach piaskowego koloru, jest ciepła i bardzo przyjemna w noszeniu. Zaczyna się od dwóch brzegów prostych po 160 cent. długich na 700 cent. rozdzielonych równo na czterech drutach. Pierwszy rząd robić zupełnie gładko; w drugim i we wszystkich dalszych rzędach po piątem ocz na pierwszym drucie i w środku chustki gubić trzeba po 1 oczku, przez co liczba ocz. zmniejsza się o 1 w każdym na środku chustki, a co drugi rząd z brzegu. Po 24 rzędach z włóczki jasnej robi się szlak, liczący 3 paski ciemne, przedzielone jasnemi; wązkie ciemne paski liczą po 8, środkowy pas 50 rzędów.

(Dok. nast.)



N. 33. Koszyczek do kluczy, ozdobiony haftem krzyżykowym.



N. 34. Kapelusz z przeciętem rondem.



N. 36. Wskazanie kroju draperyi do ryc. 18 w N. 43.



N. 35. Kapelusz z główką z materyi jedwabnej.